

Roszel Renee

Dom na plaży



Jennifer starannie zaplanowała swoją przyszłość. Gdy osiągnęła sukces zawodowy, postanowiła znaleźć sobie męża. Nie dlatego, że marzyła o ciepłe domowego ogniska, po prostu... kobieta na jej stanowisku powinna być zamężna. Wzięła nawet urlop, by spokojnie rozważyć wszystkie kandydatury. Jednak w domku na plaży spotkała kogoś, kto poświęci wiele energii na przekonanie jej, że związek bez miłości to bardzo niebezpieczny pomysł.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Zamiast podziwiać majestatyczny widok Zatoki Meksykańskiej, Jennifer Sancroft patrzyła w zupełnie innym kierunku. Pólnagi, wysoki, opalony mężczyzna równomiernie nakładał farbę na drewniany płotek oddzielający misternie wypielegnowany trawnik od nieskazitelnej plaży. Wspaniale umięśnione ramiona i tors z daleka rzucały się w oczy. Silnik zakrzuszył się i samochód stanął. Jen odwróciła wzrok i wyjęła kluczyk ze stacyjki niewielkiego wynajętego auta. Ten mężczyzna bardzo komplikował jej plany.

- Jak mam dyskretnie prowadzić rozmowy z kandydatami na męża, jeśli kręci się tu ten przystojniak?

Ruthie Tuttle, asystentka Jen, szeroko otworzyła drzwi samochodu i wychyliła się do połowy, lecz zaraz odwróciła się do Jen.

- Szefowo, mówiłaś coś?

Jen przecząco pokręciła głową.

- Nie, tylko myślę na głos. - Wskazała na pólnagiego robotnika. - Mam nadzieję, że pracuje tu tylko w ten weekend. Nie chcę, żeby ktoś straszył moją asystentkę.

Ruthie spojrzała w kierunku malarza. Jej poważną minę zastąpił wyraz zaciekawienia, a potem kompletnej fascynacji. Rozchyliła usta.

- Och - szepnęła. Było to bardziej wymowne niż setki słów. - No, no... - dodała z lubieżnym uśmiechem. Jen jeszcze nigdy nie zauważyła u niej tak pożądanego spojrzenia. Zirytowana, że czuje dokładnie to samo, co Ruth, trąciła ją lekko łokciem w żebra.

- Wracaj na ziemię, Tuttle! Masz wspaniałego męża. Przestań rozdziawiać dziób. Ruthie chrząknęła i swymi fiołkowymi oczami niewinnie spojrzała na przełożoną.

- Jeśli jestem na łańcuchu, to już nie mogę szczekać? - spytała i jeszcze raz rzuciła powłóczyście spojrzenie w stronę malarza. - Agent nieruchomości mówił, że na posesji może być jakiś pracownik. Nie wspominałam o tym?

- Nie - stwierdziła Jen obrażonym tonem.

- A to przepraszam - powiedziała Ruth, spoglądając z uśmiechem na nieznanego. - Tak między nami kobitkami, wspaniały okaz pracownika, co?

Jen spojrzała na asystentkę. Co z tego, że jest wspaniały? Jaki by nie był, przeszkadzał jej w planach. Zamyśliła się, patrząc w przestrzeń. Dlaczego wszystko musi się tak komplikować? Na trzy tygodnie wynajęła letni dom, którym dysponowała jej firma. Na jej gust stał zbyt na uboczu, ale nie miała czasu szukać czegoś bardziej stosownego.

Pracowała w prestiżowej firmie

zajmującej się księgowością i nagle dowiedziała się, że ma szansę zostać prezesem. Musiała teraz szybko podjąć kilka decyzji, choćby nawet okazały się pochopne. Nie odważyła się na szukanie kandydata na męża w Dallas. Do firmy szybko dotarłyby plotki, że nie wyjechała na miesiąc miodowy, jak usiłowała wszystkim wmówić. Gdyby dowiedziano się, że kłamała, na zawsze straciłaby szansę na wysokie stanowisko. Na pewno by ją zwolniono. Straciłaby dobrą opinię i w poszukiwaniu kolejnej pracy musiałaby wyjechać do innego stanu. Nie, na to nie mogła sobie pozwolić! Zbyt długo i ciężko pracowała dla Zrzeszenia Księgowych w Dallas. Poświęciła firmie kilka lat życia i zasługiwała na to stanowisko. ZKD było bardzo konserwatywną firmą i od osób na wyższych stanowiskach wymagano ustabilizowanej sytuacji rodzinnej. Z tego powodu panna Jennifer Sancroft, niezależnie od swych kwalifikacji zawodowych, nie była odpowiednią kandydatką. Postanowiła poruszyć niebo i ziemię, żeby to zmienić.

- Lepiej, żeby ten malarz nie wchodził mi w drogę
- mruknęła pod nosem. - Mam niespełna miesiąc na znalezienie odpowiedniego męża i nie może mi w tym przeszkodzić jakiś wynajęty osiłek w butach jak kajaki
- oświadczyła i spojrzała na asystentkę. Dobrze zbudowana dziewczyna z kędzierzawą fryzurą miała za sobą szkolenie w piechocie morskiej. - Może będę musiała na niego napuścić ciebie?

Zaskoczona Ruthie roześmiała się.

- Jest dość spory - powiedziała, unosząc brwi. - Musiałabym mieć kilku marynarzy do pomocy, albo jeszcze lepiej, paru moich krewniaków. Ci to wystraszą każdego. - Uśmiechnęła się zgryźliwie. - Szczerze mówiąc, mnie też wystraszyli. Gdyby nie to, że teściowa vel Złośliwa Wiedźma z Wichita Falls oraz teść vel Ropuch postanowili nawiedzić nasz spokojny dom, nigdy nie namówiłabyś mnie na trzy tygodnie z dala od Raya i dzieciaków. - Pokręciła głową i uniosła oczy do nieba. - Ale cóż, dzięki temu nie muszę znosić wymownych spojrzeń w stylu: „Mój syn mógł lepiej wybrać”, „Czy ty nic nie umiesz zrobić porządnie?”, i tak dalej. Szefowo, właściwie powinnam ci być wdzięczna.

Jen poklepała asystentkę po ramieniu.

- Nie ma za co. Teraz będzie mi potrzebna twoja dyskrecja i pomoc, żeby trzymać się planu. - Jeszcze raz rzuciła okiem na okolicę i samotny dom na skraju plaży. - Będziemy tu trochę odcięte od świata, a ja będę po kolei oświadczać się wszystkim samotnym facetom, jacy tylko się zgłoszą, więc liczę na twoje doświadczenie.

Jen otworzyła drzwi i stanęła na żwirowym podjeździe.

- Jeśli już mówimy o mężczyznach, wybadam tego malarza.

Zatrzasnęła drzwi samochodu i pomaszerowała przez trawnik w stronę niczego nieświadomego nieszczęśnika.

Dorodny męski okaz nie wykazywał zainteresowania

faktem, że raczyła tu przyjechać. Jen zmierzała w jego kierunku, przyglądając się jednopiętrowemu, ceglanemu budynkowi. W obramowanych na biało oknach stały skrzynki pełne kwitnącego czerwonego geranium. Zauważyła też obszerną przybudówkę w stylu wiejskiej chałupy. Tu okna pomalowano na niebiesko, a kwiaty w skrzynkach były różnokolorowe.

Jen, z natury życzliwa, ufna i logicznie myśląca, w tej chwili nie była do końca sobą. Miała mało czasu i zżerały ją nerwy. Nie mogła dopuścić, żeby awans przeszedł jej koło nosa. Na pewno nie tym razem. Miała zadanie do wykonania i nie potrzebowała do tego publiczności. Zaufała Ruthie, ale co z malarzem? Czuła narastającą niechęć do tego intruza. Już i tak źle się stało, że musiała wtajemniczyć asystentkę i nie miała zamiaru znosić dwuznacznych spojrzeń kolejnej osoby, która uzna, że postępuje jak stuknięta idiotka. To, w jaki sposób szukała życiowego partnera, było jej prywatną sprawą. Ostatnim razem, gdy kierowała się sercem, a nie rozsądkiem, szaleńczo zakochała się w Tonym. Potknęła się na samo wspomnienie, które nawet po czterech latach było bardzo bolesne. Tony Lund został zatrudniony przez Zrzeszenie Księgowych jako jej bezpośredni przełożony. Od pierwszej chwili, gdy zobaczyła go wysiadającego z windy, wiedziała, że wpadła po uszy. Był przystojny, uprzejmy, bystry. Zawsze wiedział, co powiedzieć, żeby czuła się cudownie w jego towarzystwie. Nawet jego zdawkowe uśmiechy,

którymi obdarzał ją, gdy mijali się na korytarzu, wprawiały Jen w euforię. Przez sześć miesięcy starała się, żeby dostrzegł w niej kobietę, a nie tylko koleżankę z pracy. Magiczna chwila nadeszła w czasie przyjęcia na Boże Narodzenie. Jen zmieniła fryzurę i rozjaśniła włosy. Ubrała się wyjątkowo elegancko. Skorzystała z porad w kobiecych pismach w sprawie makijażu. Dotychczas nie przywiązywała wagi do takich spraw, jako że zbyt była zajęta robieniem kariery. I oto nagle chwyciła się kobiecych sztuczek, żeby przyciągnąć uwagę Tony'ego. Co prawda już przed świętami zdążył wyrobić sobie opinię kobieciarza, ale Jen nie znosiła plotek i postanowiła je zlekceważyć. Na pierwszą prawdziwą randkę umówili się w sylwestra. Tony był uosobieniem dobrych manier, od razu też wyczuł, że Jen ma zasadnicze opory przed zbyt szybkim tempem. Musiało upłynąć sporo czasu, nim zdecydowałyby się na bardziej intymny charakter znajomości. Przeszkadzał jej również fakt, że Tony był jej szefem, choć firma nie wydała specjalnego okólnika zakazującego chodzenia na randki ze współpracownikami. Tak więc Jen wbrew porywom serca, za to posłuszna zasadom, dzielnie stała na straży swej cnoty, lecz po miesiącu Tony wyznał, że jest śmiertelnie zakochany. Choć bardzo staroświecka i ostrożna, chciała poświęcić dla niego wszystko, co było jej tak drogie: karierę i niewinność.

Jen czuła się kochana i pożądana. Marzyła wyłącznie o tym, żeby zostać żoną Tony'ego i matką jego dzieci. W walentynki była najszcześniejszą kobietą w Teksasie. Kupiła o wiele za drogą sukienkę, w której czuła się jak nastolatka. Była gotowa na romantyczny wieczór z Tony m, gdy zadzwonił telefon. Dzwoniła jej matka ze szpitala w Forth Worth. Ukochana ciotka Jen, Crystal, miała wypadek samochodowy. Była w stanie krytycznym. Zapłakana Jen pojechała do szpitala. Po drodze zadzwoniła na komórkę Tony'e-go i odwołała randkę. Zaproponował, że przyjedzie do szpitala, ale powiedziała mu, że to nie ma sensu. Dzień walentynek zakończył się tragicznie, bowiem ciotka zmarła. Późno w nocy załamana Jen wróciła samochodem do Dallas. Pojechała do Tony'ego. Potrzebowała jego bliskości, serdeczności i pocieszenia. Zdecydowała, że nie będzie mu się dłużej opierać. Od tego dnia będą ze sobą całkowicie i na zawsze. Gdy tylko otworzył drzwi, natychmiast zorientowała się, że coś jest nie tak. Pólnagi, w czarnych, jedwabnych spodniach od piżamy, jak zwykle wyglądał wspaniale i jak zwykle zniewalająco uśmiechnął się do niej. Jednak w jego spojrzeniu było coś, co ją zaniepokoiło. Kierowana intuicją ruszyła do sypialni. Na jej widok jakaś kobieta usiadła w łóżku, próbując zasłonić piersi. Obie panie wlepiły w siebie wzrok. Tony chwycił Jen za rękę, tłumacząc cicho, że to sprawa bez znaczenia.

- Tak wyszło - powiedział z miną lekko zakłopotaną, jakby nocne podboje były nieistotnym drobiazgiem.

Z bólem przypomniała sobie, jak ją objął i wyprowadził z pokoju, zamykając drzwi. Nawet przyłapany in flagranti, był absolutnie spokojny! Powiedział, że ją kocha.

- To tylko seks - szeptał, ciągle się uśmiechając, głaszcząc ją i całując.

Kompletnie załamana, nie była zdolna wykonać choćby najmniejszego ruchu. Dziwnie bezwolna, wyzbyta wszelkiej energii, zdawała się być lalką, z którą można zrobić wszystko. Niewiele brakowało, żeby oddała się człowiekowi, który oszukiwał ją z zimną krwią. Mówił jej miłe słówka, gdy za drzwiami leżała jakaś zgarnięta z knajpy dziewczyna.

Nagle odzyskała siły i wyrwała się z uścisku. Spojrzała na Tony'ego. Ze zdumieniem zauważyła, że był zaskoczony jej reakcją. Nie miał nawet tyle przyzwoitości, żeby przyznać się do zdrady. Była tak ślepo zakochana, że dotąd nie chciała słuchać znajomych, którzy ostrzegali ją przed jego kłamstwami, niewiernością i licznymi romansami.

Tamtej nocy jej świat zawalił się dwukrotnie. Najpierw straciła ciotkę, a potem wiarę w wielką miłość i zaufanie do drugiego człowieka. Po raz pierwszy pozwoliła, żeby kierowały nią wyłącznie uczucia, i jak się to skończyło?

- Nigdy więcej - powtarzała sobie.

Tony miał dość tupetu, żeby dzwonić do niej jeszcze kilkakrotnie. Zapewniał o swoim oddaniu i uczuciach. Jen z trudem oparła się powodzi słodkich słów. Przez długie dwa miesiące cierpiała tortury, spotykając go w pracy, słysząc miły głos i widząc jego gorące spojrzenia, które mogłyby zmiękczyć najtwardsze serce.

Któregoś dnia, podobnie niespodziewanie jak się zjawiał, Tony odszedł z ZKD i dzięki odpowiednim znajomościom przeniósł się na wysokie stanowisko w nowojorskiej korporacji finansowej. Nie odpowiadała mu mała, spokojna firma. Miał większe ambicje. Namówił też do odejścia jedną ze współpracownic, obiecując jej małżeństwo.

Niewątpliwie łączył ich romans, nawet wtedy gdy Tony wyznawał Jen gorące uczucie. Chociaż Tony zniknął z jej życia, Jen cierpiała, nie mogąc pogodzić się z faktem, że została oszukana. Była to dla niej trudna lekcja. Powiedziała sobie, że dała się oszukać nie tylko Tony'emu. Zawiódł ją również zdrowy rozsądek. Na jakiś czas stała się ślepa i głucha. Nie potrafiła trzeźwo ocenić drugiego człowieka. Postanowiła, że nigdy więcej nie będzie się kierować uczuciami, lecz wyłącznie zimną logiką.

Po odejściu Tony'ego Jen całkowicie poświęciła się karierze i szybko zaczęła awansować. Nie chciała przyciągać męskiej uwagi, dlatego w kąt poszły seksowne ciuchy i makijaż.

Zdecydowała, że zostanie szefem ZKD. Prędzej umrze, niż zrezygnuje!

Wiedziała z doświadczenia, że w tej skrajnie konser-

watywnej firmie prezesem zawsze był ustabilizowany życiowo, żonaty mężczyzna. Jennifer Sancroft była kobietą i nie przewidywała w tym zakresie żadnych zmian, by więc stać się prawdziwą kandydatką na stanowisko prezesa, musiała założyć rodzinę z jakimś nobliwym, szanowanym obywatelem.

Rozpoczęła poszukiwanie męża, kierując się chłodną kalkulacją, której nie powinny zaćmić żadne uczucia. Znajdzie człowieka sukcesu, który ma podobne do niej zainteresowania i poglądy. Wierzyła, że można zdobyć partnera na całe życie, kierując się jedynie intelektem, a nie bezsensownymi porywami serca i dzikim głosem pożądania. Najlepszym przykładem byli jej rodzice. Świetnie się rozumieli, mieli wspólne cele i poglądy, choć nigdy nie zauważyła, żeby byli w sobie naprawdę zakochani. Potrzebowała tylko dobrego planu, kilku odpowiednich kandydatów i zaciszego miejsca. Dlatego tu przyjechała.

Zaczęła iść po trawniku, spoglądając na mężczyznę malującego płot. Obrzucił ją ponurym, nieprzyjaznym wzrokiem, jakby była intruzem, odłożył pędzel na puszkę z farbą i wstał, opierając ręce na biodrach. Wyglądał jak kowboj, którzy zamierza przepędzić przybłądów ze swojego terytorium.

Ależ ten facet ma tupet! - pomyślała. A przecież był tylko najemnym majstrem, gdy zaś ona zapłaciła za pobyt w tym domu.

- Pani to wynajęła? - spytał tonem, który świadczył,

że gdyby przypadkiem spadła ze skały, nie przejąłby się zbytnio. Jego spojrzenie świadczyło, że z góry znał odpowiedź.

- Tak, ja - odpowiedziała równie rozdrażnionym głosem. - Kiedy skończy pan tę robotę? Mam nadzieję, że w czasie tego weekendu, bo od poniedziałku zaczynam bardzo ważne spotkania. Nie chcę tu żadnych obcych, walenia młotkiem i... czego tam jeszcze... Machnęła ręką. Majster sam wie najlepiej, jak bardzo bywa uciążliwy podczas pracy. Zamilkł i spojrzał na nią z bezczelną pewnością siebie. Mimo irytacji zauważyła, że miał bardzo interesującą twarz. Spojrzenie jasnoniebieskich, hipnotyzujących oczu wprowadziło ją w onieśmienie. Wzruszył ramionami.

- Niewiele mogę zrobić w sprawie walenia. Postaram się zachowywać cicho - odpowiedział. Było jasne, że nie zamierza się spieszyć z zakończeniem prac.

- Słucham? Chyba się nie rozumiemy... Pochylił się w jej kierunku, zaś Jen odruchowo się cofnęła. Był naprawdę potężnie zbudowany.

- Proszę pani, będę tu w czerwcu, czy się to komuś podoba, czy nie. Pośrednik, który pani to wynajął, musiał się pomylić. Sama pani przyznała, że nie przepada za waleniem, więc radzę znaleźć inny lokal.

Spojrzała na niego zaskoczona. Chyba nie był na tyle bezczelny i wystarczająco bystry, żeby bawić się w słowną grę i użyć tego wyrażenia w wulgarnym znaczeniu.

- Co to znaczy, że pośrednik się pomylił? - spytała.

- Pomylić się, to znaczy: popełnić błąd, niedopa-trzeć czegoś, paść ofiarą nieporozumienia, wykonać coś pod wpływem zaćmionego umysłu...

- Wiem, co to pomyłka! - przerwała ostro. - Pytam,

O jaką pomyłkę chodzi?

- Firma nigdy nie wynajmuje tej posiadłości w czerwcu.

- Oczywiście, że tak - odpowiedziała. - Przecież dlatego tu przyjechałam.

- I to właśnie był błąd.

Czuła, że za chwilę jej plany wezmą w łeb. Nie wiedziała, co powiedzieć, więc tylko mruknęła:

- Ach, tak...

- Pomyłka polega na tym, że wynajęli pani ten dom w czerwcu, choć nie powinni byli - wyjaśnił dobitnie i ostatecznie.

- Dlaczego mam w to uwierzyć?

- Proszę zadzwonić i zapytać.

Nie zamierzała marnować czasu na dalsze rozmowy. Natychmiast sięgnęła do torby przerzuconej przez ramię, wyjęła telefon komórkowy i wybrała numer zarządu firmy.

- Jest sobota - zauważył chłodno.

Spojrzała na niego z nachmurzoną miną. O tej porze już nie miała szans, żeby kogoś tam zastać. Schowała telefon, próbując odzyskać pewność siebie.

- Słusznie, ale niezależnie od tego, jaki dziś dzień, wynajęłam to miejsce na najbliższe trzy tygodnie.

- Od lat czerwiec rezerwuję... rezerwuję na naprawy i konserwacje. Najwyraźniej nowy agent nie wiedział o tym. Krótko mówiąc, nic z tego nie będzie - powiedział z absolutnym przekonaniem.

Zaczęły ją ogarniać coraz większe wątpliwości, czy zdoła postawić na swoim.

- Mam poważne zobowiązania - powiedziała twardo. - Przez cały przyszły tydzień czekają mnie wcześniej umówione i zaplanowane spotkania. Interesanci przyjadą nawet z odległych stanów. Moje ogłoszenie, w którym podałam ten adres, będzie się ukazywać przez kolejne dni, a spotkania będą trwać przez cały mój pobyt. Nie mogę zmienić planów!

- Ja też nie - stwierdził bez cienia żalu czy współczucia. W jego głosie nadal wyczuwała wrogość.

Uniosła ramiona, żeby wyglądać na wyższą, lecz niewiele to pomogło. Swoimi gabarytami nie mogła go wystraszyć. Cóż, gdyby tylko chciał, mógłby ją wycisnąć jak cytrynę. Jednak ten prostacki majster nie widział Jen Sancroft w chwilach, kiedy jej na czymś naprawdę zależało.

- Wygląda na to - oświadczyła niezwykle spokojnym tonem - że znaleźliśmy się w impasie. Przyglądał jej się przez chwilę.

- Świetnie to pani ujęła. Właśnie na to wygląda - przyznał ochoczo.

Jen nie podobał się ten kompromis z kimś, kto według niej powinien zachować się zupełnie inaczej. Źle

oceniła tego olbrzyma. Spodziewała się, że będzie się tłumaczył i przeproszał. Widocznie jednak traktował swój rozkład zajęć równie poważnie jak ona. Może odłożenie prac oznaczałoby dla niego zmianę kolejnych terminów, co niewątpliwie utrudniłoby mu życie. Lecz zapłaciła za swój pobyt i prawo było po jej stronie. Nie można bezkarnie brać za jakąś usługę pieniędzy, a potem nie wywiązać się z umowy.

Ile jednak może zarabiać taki majster? Gdyby go stąd przepędziła, straciłby cały miesiąc. I co wtedy będzie jadła jego nieszczęsna żona i maleńkie dzieci? Bo pewnie miał ich już całą gromadkę.

Och, co ją obchodzi, czy jest żonaty, czy nie. To jego sprawa. Ale ona mogłaby trochę odpuścić. Facet nie wygląda na plotkarza, a nawet jeśli, to najwyżej może poplotkować w gronie sobie podobnych robotników, więc żadne wieści nie dotrą z teksaskiego wybrzeża do jej firmy w Dallas. Zresztą miała za dużo spraw na głowie, żeby przejmować się takimi błahymi drobiazgami.

- Cóż, myślę... - zaczęła niechętnie. - Wydaje mi się, że mógłby pan zostać, o ile nie będzie pan hałasować podczas... moich rozmów. Gdy będę miała interesantów, w ogóle proszę trzymać się z daleka od domu, zgoda?

Przez długą chwilę spoglądał na nią w milczeniu. W końcu lekko skinął głową.

Cole spojrział groźnie na stojącą przed nim kobietę. Dziwił się sobie, że tak łatwo ustąpił. Dotychczas planował, że jeśli ktokolwiek się tu zjawi, złapie go za kołnierz i rzuci w kierunku najbliższej autostrady. Teraz próbował zgadnąć, co ta intruzka miała takiego w sobie, że tego nie zrobił?

Uniósł brwi, patrząc na jej kostium z buroszarej bawełny. Skrojony był tak, że wyglądała w nim jak w dwóch kartonowych pudłach. Skrzętnie ukrywał wszelkie atrybuty kobiecości. Do tego ta fryzura. Włosy równo rozdzielone na środku głowy, z tyłu mocno związane. Zupełnie jakby swoim wyglądem chciała oznajmić: „Nie zbliżaj się do mnie. Jestem zanedbana, kapryśna i wiecznie niezadowolona”.

Jednak jej oczy mówiły coś innego. Były duże, błyszczące, zielone z długimi rzęsami. W ich spojrzeniu było coś uwodzicielskiego. Miała zmysłowe, wydatne usta. Mimo nieatrakcyjnego stroju naprawdę przyciągała wzrok. Zaintrygowała Cole'a na tyle, że zgodził się na ten bezsensowny kompromis.

Co roku nie mógł się doczekać spokojnego, czerwcowego urlopu w letnim domku rodziców. Tym razem zapowiadało się, że spędzi go pod jednym dachem z kłótliwą świętoszką, która za wszelką cenę stara się nie być kobieca.

Zaklął pod nosem, odwrócił się i sięgnął po pędzel. Przecież to miał być jego miesiąc, do diabła! Spodziewał się, że w ciszy spędzi pierwsze wakacje po śmierci

ojca. Chciał też odpocząć od pełnej nieustannego napięcia pracy. Do wczoraj walczył z inwestorami, którzy próbowali przejąć większość udziałów w jego największej firmie paliwowej działającej w czterech stanach. Czuł się psychicznie wykończony harówką po osiemnaście godzin na dobę. Musiał uciec do tego spokojnego miejsca, gdzie mógł się odprężyć, posłuchać szumu fal i zabawiać się w rzemieślnika.

Ubóstwiał ten dom. Przypominał mu dzieciństwo i chwile spędzone ze starzejącym się ojcem. Był to człowiek, który mając pięćdziesiąt pięć lat, zaopiekował się noworodkiem, dał mu swoje nazwisko, wychował i przekazał całą swoją mądrość. Dbając o dom, Cole czuł się szczęśliwy. Dzięki jego staraniom ulubione miejsce ciągle było piękne i w dobrym stanie.

Fizyczna praca wśród szumu fal pozwalała mu zapomnieć o rzeczywistości. Wreszcie miał czas na przemyślenie problemów, które narosły od poprzednich wakacji. Ten sposób spędzania urlopu dawał mu energię, tak potrzebną w męczącej, nerwowej pracy.

Wrócił do malowania płotu. Dręczyło go, że nie pozbył się nieproszonego gościa. Jakim cudem tak łatwo zgodził się, żeby ta kobieta zepsuła mu wakacyjne plany?

- Może powinniśmy się sobie przedstawić? - zaproponowała.

Spojrzał na nią zaniepokojony. Przyglądała mu się uważnie. Sądząc po zaczerwienionych policzkach i bły-

sku w oczach, była bardzo zirytowana. Do diabła, sprawiała wrażenie okropnie upartej baby. Zaczął się zastanawiać, co to miały być za spotkania. Chyba nic podejrzanego ani dwuznacznego? Była zbyt zasadnicza i afektowana, żeby pozwolić sobie na jakieś seksualne wakacyjne wyskoki.

- Jestem Cole - mruknął. - Cole... Noone.

Co prawda znajomi mówili do niego Cole, więc częściowo powiedział prawdę, ale nazwisko zmyślił na poczekaniu. Ta kobieta uznała go za wynajętego fachowca i nie chciał jej wyprowadzać z błędu. Ciekawe, jak go potraktuje, nie wiedząc, że ma do czynienia z J.C. Barringerem, zamożnym kapitalistą. Zwykle kobiety łąsiły się do niego, gruchały zalotnie i trzepotały rzęsami. Jednak ta cnotliwa dama najwyraźniej wcale nie miała takiego zamiaru.

Zaskoczyła go, wyciągając rękę.

- Jestem Jennifer Sancroft.

Wydało mu się, że skądś zna to nazwisko. Przymknął na moment oczy, starając się przypomnieć. Na razie nic z tego, ale nie szkodzi, ma przecież dużo czasu. Samo przyjdzie do głowy. Ten budynek mieli prawo wynajmować tylko pracownicy jego firm, w tym również tych, które niedawno przejął po ojcu. Musiał usłyszeć o Jennifer Sancroft przy okazji jakichś służbowych spraw.

Ujął jej dłoń. Jak się spodziewał, była chłodna, a uścisk zdecydowany.

- Bardzo mi miło, panno Sancroft - powiedział oschłym tonem.

- Skąd pan wie, że jestem panną? - spytała bardzo zaskoczona.

Nie mógł się powstrzymać od uśmiechu. Czy naprawdę nie zdawała sobie sprawy, że wręcz rzucało się to w oczy?

- Po prostu udało mi się zgadnąć. Zarumieniła się. Wyczuła złośliwość w jego głosie. Opuściła dłoń i wzruszyła ramionami.

- Cóż - cofnęła się o krok - pójdę po rzeczy. Odwróciła się i ruszyła do samochodu. Cole spojrzał

na nią z rosnącą niechęcią. Teraz, gdy nie widział jej uwodzicielskiego spojrzenia ani zmysłowych ust, zebrał całą energię, żeby siłą woli zmusić ją do odjazdu. Patrzył z napięciem, jak podchodzi do auta, otwiera drzwi i wyjmuje walizkę. Ciężko westchnął. Nie miał nawet odrobiny telepatycznych zdolności.

Na widok szefowej Ruthie otworzyła przednie drzwi.

- I co? Wyjedzie w niedzielę? - spytała bardziej z niepokojem niż z nadzieją. Mimo że była mężatką, najwyraźniej wolałaby, by intruz został tu przez całe trzy tygodnie. Wzięła swoją walizkę i ruszyła za Jen do budynku. Weszły przez frontową werandę ozdobioną kolumnami w stylu kolonialnym.

Wspinając się po schodkach, Jen westchnęła

- Nie wyjedzie. - Gdy znalazły się w środku, posta-

wiała walizkę. - Był... niechętny w sprawie zmiany planów. Powiedziałam, że może zostać - dodała. Słowo „niechętny” niezupełnie pasowało do jego zachowania, ale zostawiła to dla siebie.

- Świetnie. - Twarz Ruthie pojaśniała z radości. - Chyba powinniśmy trochę się rozejrzeć.

- Zatoka Meksykańska dochodzi niemal do ogródka na tyłach domu.

Ruthie lekceważąco machnęła ręką.

- Myślę, że powinnaś raczej rozejrzeć się za mężczyznami, a nie podziwiać krajobrazy.

Jen udała, że nie dostrzega złośliwości.

- Dobrze wiesz, że muszę zdobyć partnera na lata. Nie zależy mi na przelotnym związku.

Dlaczego nie miałabym znaleźć przyzwoitego męża? Wzajemne zrozumienie to podstawa.

Przecież moi rodzice...

- Wiem - przerwała Ruthie zamyślonym, a zarazem wsółczującym tonem. - Twój rodzice stanowią zgrany zespół. Doskonały przykład małżeństwa z rozsądku.

- Nie zapominaj, że już się przekonałam, do czego prowadzi ślepe uczucie - argumentowała Jen.

Ruthie pokiwała głową ze smutkiem.

- Tony, wiem - powiedziała i spojrzała na Jen. - Byłam już wtedy twoją asystentką, gdy ten drań złamał ci serce. Jednak myślę, że z powodu jednego bubka nie powinno się raz na zawsze rezygnować z miłości.

- Nie rezygnuję z miłości. - Jen była już znużona nieustannym tłumaczeniem, jak zapatruje się na ten

problem. Ruthie nie akceptowała jej poglądów, dlatego wciąż się spierały w tej sprawie.
- Jasne. Uważasz, że miłość może rozkwitnąć, jeśli dwie uczciwe osoby dogadają się na wspólne życie. Jednak ja nie nazwałabym tego miłością, tylko dobrze zrealizowaną umową.

Jen zacisnęła usta. Wyjaśniła dobitnie, dlaczego chciała znaleźć męża w tak nietypowy sposób i nie miała ochoty do tego wracać. Dobrze, że Ruthie potrafiła trzymać język za zębami i nie będzie plotkować o tym wyjeździe. Wszyscy w firmie byli przekonani, że Jen poszła na urlop, bo ma zamiar wziąć cichy ślub i spędzić miesiąc miodowy. Gdyby mogła zorganizować spotkania bez pomocy Ruthie, na pewno by tak zrobiła. Wyraźnie czuła brak aprobaty z jej strony.

- Przynajmniej miejsce jest ładne.

Uwaga Ruthie wyrwała Jen z zamyślenia. Asystentka wskazała na schody wiodące na piętro.

- Tam muszą być sypialnie. Domyślam się, że chcesz największą. Mnie wystarczy pokój gościnny. Natomiast na rozmowy świetnie nadaje się jadalnia. Jaki piękny stół! -
Zachwyciła się, wskazując na lewo od wejścia. Rzeźbiony, dębowy regał wypełniony porcelaną zajmował większą część ściany. Przed nim znajdował się stół. Blat z grubego szkła wspierały cztery kolumny umocowane w kamiennej podstawie. Z każdej strony stały dwa eleganckie krzesła. - Chyba że wolisz rozmawiać tam.

Wskazała na salon. Na końcu obszernego pomieszczenia znajdował się kominek wykończony białym marmurem. Była to północna część budynku, lecz przez trzy wysokie okna wpadało mnóstwo światła. Dzięki jasnym, pastelowym kolorom pokój wydawał się widny i przytulny. Światło odbijające się od ścian przypomniało Jen o spojrzeniu jasnoniebieskich oczu.

- Interesujący - powiedziała Ruthie, podchodząc bliżej.

- Tak, ma coś w sobie.

- Słucham? - upewniła się Ruthie. - Mówię o domu, nie o tym facecie.

Sceptyczny ton wyrwał Jen z zamyślenia. Miała niemiłe uczucie, że powiedziała coś, czego nie zamierzała.

- Ja też - wyjaśniła pośpiesznie. - Myślałam o budynku.

Starła się, żeby zabrzmiało to przekonująco. Nie była w nastroju do rozmowy o pewnym aroganckim majstrze.

ROZDZIAŁ DRUGI

Cole zauważył, że panna Jennifer Sancroft przez resztę weekendu twardo zachowywała dystans, natomiast jej towarzysza, sympatyczna kobieta z kręconymi włosami i hałaśliwym śmiechem, była bardziej towarzyska. Machała ręką na powitanie za każdym razem, gdy spotykali się koło domu. Jednak od panny Waźniackiej wprost wiało chłodem. Zresztą prawie cały czas siedziała w domu. Nie podobało mu się to. Nie dlatego, że chciałby częściej ją widywać, ale była blada i dobrze by jej zrobiło, gdyby pospacerowała po plaży i złapała trochę słońca.

W poniedziałek rano, gdy wracał z plaży po intensywnym pływaniu, spostrzegł na podjeździe jakiś obcy samochód. Wycierając głowę, zastanawiał się, co za rozmowy prowadzą obie panie. Wzruszył ramionami. Co go to obchodzi? Ma swoje sprawy do zrobienia.

Chociaż Cole bardzo się starał nie zwracać uwagi, szybko spostrzegł, że co pół godziny odjeżdża samochód, a na jego miejsce podjeżdża następny. Około drugiej po południu zajął się wycinaniem suchych gałęzi na wysokim dębie przed budynkiem. Z tego miejsca

doskonale widać było podjazd. Chrząst kół na żwirze przyciągnął jego uwagę. Przyjechało kolejne auto. Wsiadł z niego szczupły, łysiejący mężczyzna w brązowym garniturze. Cole uświadomił sobie, że przez cały dzień nie zjawiała się tu żadna kobieta. Wszyscy goście to faceci w trzyczęściowych garniturach. Większość z teczkami.

Cole był zaciekawiony, ale nie wścibski. Mimo to za każdym razem, gdy przybywał kolejny pojazd i wysiadał kolejny gość, zastanawiał się, co się dzieje wewnątrz budynku. O czwartej skończył wycinać gałęzie. Zszedł z drzewa i pozbierał narzędzia. Postanowił się dowiedzieć, w jakim celu te panie tu się zjawiały. Panna Waż-niacka jasno powiedziała, że nie życzy sobie hałasu wewnątrz domu, jednak ciekący w kuchni kran wymagał jedynie wymiany uszczelki. Taki zabieg nie powoduje hałasu.

Przeszedł na tył budynku i po drewnianych schodkach dotarł do obszernej przybudówki, a potem przez tylne drzwi wszedł do kuchni głównego budynku. Było to jego ulubione miejsce. Chociaż zwykle mieszkał w przybudówce, z domem wiązało się wiele wspomnień. Pomieszczenie było zaciszne. Podłoga z szerokich dębowych desek, skórzane siedziska mebli i wystrój w stylu indiańskim bardziej odpowiadały jego gustowi niż pokoje na froncie.

Postawił skrzynkę z narzędziami na granitowym blacie, niestety zrobił to dość głośno. Cole skrzywił się.

Z dyskretnego zachowania nic nie wyszło. Usłyszał za sobą kroki. W drzwiach od strony korytarza ukazała się głowa w lokach. Na jego widok zaniepokojona mina zmieniła się w uśmiech.

- Myślałam, że to włamywacz.

- Co byś zrobiła, gdyby to była prawda?

- Wykopałabym cię za drzwi, przystojniaku - powiedziała, wchodząc do kuchni. Oparła się o blat. - Byłam sierżantem marines. Gdybym chciała, już byś leżał tam, gdzie stoisz.

Uśmiechnął się.

- Czy ty przypadkiem nie próbujesz mnie poderwać? No, no...

Roześmiała się i wyciągnęła przed siebie dłoń ze ślubną obrączką.

- Nie, chociaż przyszło mi to do głowy.

- Ruthie? - zawołała panna Ważniacka z salonu. - Następny kandydat właśnie przyjechał.

- Masz na imię Ruthie? - spytał Cole konspiracyjnym szeptem.

- Ruthie Tuttle - powiedziała, podchodząc bliżej z ręką wyciągniętą na powitanie. -

Szefowa mówiła, że nazywasz się Cole Noone - szepnęła. - Cieszę się, że oficjalną prezentację wreszcie mamy za sobą.

Uścisnął jej dłoń.

- Lepiej jej nie mów, że tu jestem - poprosił.

- Jasne. - Mrugnęła porozumiewawczo. - Gdyby wiedziała, urwałaby mi głowę. Jednak zaryzykuję, bo

bardzo mi zależy, żebyś naprawił ten kran. W nocy doprowadza mnie do szału.

- Słyszysz go nawet na piętrze? Zmarszczyła nos.

- Mam słuch czuły jak nietoperz. Rozległ się dzwonek.

- Ruthie! Co ty tam robisz? Proszę, otwórz szybko drzwi.

Rudowłosa asystentka zrobiła zmartwioną minę.

- Obowiązki wzywają - szepnęła. - Już biegnę! -dodała donośnym głosem.

Cole zajął się pracą. Przez następnych piętnaście minut powoli i bezszelestnie wymieniał uszczelkę. Zamiast skupić się na pracy, przysłuchiwał się rozmowie w salonie. Chociaż nie słyszał każdego słowa, nie wierzył własnym uszom. Wyglądało na to, że panna San-croft szuka kandydata na męża.

Skończył pracę i oparł dłonie na zimnym granicie. Pokręcił głową. Niewiele mogło go zadziwić, ale tym razem naprawdę był zaskoczony i zirytowany. A także rozczarowany.

Co jej przyszło do głowy, żeby wymyślić tak idiotyczny sposób? Z takimi oczami i ustami? Na pewno niejeden z mężczyzn, z którymi się spotyka, potrafi wyobrazić sobie, co się kryje pod dziwnym strojem i...

- Panie Robertson, dziękuję za poświęcony czas. Cole spojrział przez ramię. Głos panny

Ważniackiej

brzmiał niebezpiecznie blisko.

- To było bardzo interesujące spotkanie - powiedział Robertson. - Dziękuję, pani Sancroft. Życzę powodzenia.

Cole usłyszał odgłos zamykanych drzwi. Potem nastąpiła cisza.

- Ruthie, kiedy następne spotkanie?

- Za około dwadzieścia minut. Dzwonił z informacją, że samolot się spóźnił.

- Dzięki Bogu - Cole usłyszał westchnienie. - Muszę odpocząć. Czas na batonik z orzechami i filiżankę ka... - Wchodząc do kuchni, przerwała w pół słowa. - Pan tutaj? - krzyknęła ze złością.

Odwrócił się w jej kierunku i skrzyżował ręce na piersi. Spojrzał na nią krytycznie. Miała na sobie zapiętą pod szyją białą bluzkę z długimi rękawami, a szara spódnica sięgała do połowy kolan. Włosy, podobnie jak w sobotę, zaczesała do tyłu. Pomyślał, że zależało jej, by wyglądać niezbyt atrakcyjnie, choć nie mógł zrozumieć dlaczego.

Zapanowała chwila złowrogiej ciszy. Jen patrzyła na niego z irytacją.

- Dzień dobry. - Cole nawet nie próbował silić się na uśmiech.

- Miało tu pana nie być - oświadczyła stanowczo. Nie był przyzwyczajony, żeby traktowano go w ten

sposób, jednak nie dał po sobie poznać narastającej złości.

- Przecież nie hałasowałem.

Wzięła głęboki oddech.

- Nie o to chodzi! Miał pan tu nie wchodzić w czasie moich rozmów. Wyraźnie to powiedziałam!

Spojrzał na nią bez słowa. Jen oczekiwała przeprosin, ale nic takiego nie nastąpiło.

- Nie lubię, żeby mi rozkazywano - powiedział w końcu i odwrócił się plecami. Sięgnął po skrzynkę z narzędziami, ruszył do tylnych drzwi i nagle odwrócił się, trzymając rękę na klamce. - Do diabła, dlaczego w ten sposób chce pani znaleźć męża?

Otworzyła usta zaskoczona taką zuchwałością.

- Precz! - zawołała zmienionym głosem.

Jen czuła się wykończona. Przez trzy dni murem siedziała w domu. Chciała wreszcie pójść na spacer, odprężyć się. Gotowa była nawet narazić się na spotkanie z bezczelnym majstrem. Dlaczego miałyby się ukrywać? Wynajęła tę posiadłość i miała prawo czuć się swobodnie. Pomyślała, że jeśli po kolejnym okropnym dniu zostanie w czterech ścianach, zacznie wyć z rozpacz. Zwykle starała się być pewną siebie optymistką, ale dziś była już u kresu wytrzymałości. Zwlokła się z kanapy, na której siedziała godzinami, prowadząc bezproduktywne rozmowy.

- Ruthie, idę na spacer.

Asystentka siedziała na fotelu obok kanapy. Uniosła wzrok, zamknęła notatnik i skinęła głową.

- Najwyższy czas, żeby skorzystać z pięknej pogo-

dy. Pójdę na górę zadzwonić do Raymonda. Dowiem się, jak dzieciaki znoszą wizytę dziadków.

- Świetnie - mruknęła Jen. Nie miała ochoty na gadanie po całym dniu bezowocnych rozmów.

- Czy mam zamówić jakiś obiad?

Jen wzruszyła ramionami. Kompletnie nie miała apetytu.

- Jasne.

- Za godzinę? - dopytywała się Ruthie.

- Dobrze.

Spojrzała na zegarek. Piąta trzydzieści. Miała mnóstwo czasu na relaks.

Wyszła przez tylne drzwi i minęła gardenie kwitnące w doniczkach. Delikatna woń mieszała się z zapachem morza. Za świeżo pomalowanym płotkiem zaczynał się wąski pas wydm. Wciągnęła powietrze do płuc. Po schodkach zeszła na trawnik, otworzyła furtkę i ruszyła w kierunku plaży. Spojrzała na zatokę. Widok był wspaniały. Popołudniowe słońce odbijało się w lazurowej wodzie. Panowała cisza i spokój. Jen czuła, jak opuszcza ją stres minionego dnia.

Jednak nie mogła zapomnieć, dlaczego tu przyjechała. Dzięki temu, że całkowicie poświęciła się pracy, została najmłodszym wiceprezesem firmy. Była jedyną kobietą na tak wysokim stanowisku. Niespodziewanie w ubiegłym tygodniu prezes oświadczył, że rezygnuje. Odchodzi do firmy w innym stanie. Jen po namyśle doszła do wniosku, że najbardziej zasługuje na awans.

Jej pech polegał na tym, że właściciel firmy miał skrajnie konserwatywne poglądy. Nigdy nie zdarzyło się, żeby prezesem został nieżonaty mężczyzna, a niezamężna kobieta nie miała najmniejszych szans. Wyłącznie ustabilizowany ojciec mógł liczyć na akceptację. Wiekowy właściciel niedawno zmarł, a jego miejsce zajął syn, jednak Jen obawiała się, że odziedziczył nie tylko firmę, lecz także poglądy. Nie będzie dla niego miało znaczenia, że nie założyła rodziny, bo cały swój czas poświęciła firmie. Fakt, że była trzydziestoletnią, samotną kobietą, nie powinien jej dyskwalifikować! Nowy właściciel wysłał do trojga wiceprezesów uroczyste zaproszenia ozdobione złotymi literami. Za trzy tygodnie chciał z nimi przeprowadzić rozmowy w sprawie stanowiska prezesa. Jen dowiedziała się, że jej rozmowa będzie ostatnia. Odebrała to jak zniewagę. Jako wiceprezes do spraw podatków zajmowała najbardziej prestiżowe stanowisko z całej trójki.

Pomyślała, że chyba jednak za bardzo się przejmuje. Może stała się przewrażliwiona, bo zaczęła sobie zdawać sprawę z upływu czasu? Sukcesy w pracy już jej nie wystarczały. Chciała założyć rodzinę i urodzić dzieci, najlepiej czworo.

Jako prezes mogłaby mieć wszystko: karierę i rodzinę. Marzyła o wprowadzeniu przepisów ułatwiających opiekę nad dziećmi. Chciała założyć żłobek na terenie firmy, by młode matki mogły pracować na pół etatu,

a także wprowadzić dwumiesięczny płatny urlop macierzyński. Uważała, że dotychczas w ZKD nikt nie przejmował się tymi sprawami. Sama firma też nie nadążała za współczesnością. Jen miała wiele nowych pomysłów. Była przekonana, że potrafi przekształcić ZKD w najbardziej prestiżową w całym Teksasie instytucję specjalizującą się w usługach księgowych.

Nie przewidziała, że będzie musiała tak nerwowo szukać męża, a już na pewno nie w ten sposób. Jednak, żeby mieć szansę na stanowisko prezesa, musiała stawić się na rozmowie kwalifikacyjnej jako osoba o ustabilizowanym życiu rodzinnym. Nie miała wyboru.

Trzeba było działać, i to szybko. Pozostało już tylko osiemnaście dni do spotkania z właścicielem firmy. Musiała wykorzystać ten czas, żeby znaleźć męża, na którym mogłaby polegać. Powtarzała sobie, że plan musi się powieść.

Jen uniosła ręce i głęboko odetchnęła. Nie martw się, mówiła sobie w duchu. Jutro będzie lepiej. Nie wszyscy będą tak beznadziejni jak dziś. Co z tego, że niektórzy patrzyli na mnie jak na idiotkę?

Pomyślała, że może w jej ogłoszeniu w „Wall Street Journal” o poszukiwaniu współpracownika powinna się jednak znaleźć wzmianka o małżeństwie? Na przykład tak: „Poszukuje się człowieka sukcesu, który marzy o nowych wyzwaniach. Konieczna łatwość w nawiązywaniu kontaktów, wrodzona lojalność i uczciwość, wyższe wykształcenie, urok osobisty, stan cywilny na razie wolny”. Takie ogłoszenie powinien przeczytać ten

najodpowiedniejszy z odpowiednich, rzucić się jej do kolan i błagać o rękę.

Roześmiała się głośno z tych naiwnych marzeń.

Nie była w stanie przełamać się i zamieścić zwykłe ogłoszenie matrymonialne. Byłoby to zbyt przyziemne, a uważała, że jej cel jest wzniosły i subtelny. W rzeczywistości była zbyt dumna, żeby szukać partnera przez ogłoszenia. Zgodnie z konserwatywnym wychowaniem starała się postępować powściągliwie, dlatego biznesowe ogłoszenie w „Wall Street Journal” wydawało się stosowniej szym rozwiązaniem. Niestety, prawdziwy cel nie był przedstawiony wprost, a kolejni rozmówcy nie kryli zaskoczenia i zdumienia. Jedni patrzyli na nią jak na ufoludka, inni poczuli się obrażeni. Dzisiejsze rozmowy wpłynęły na nią przygnębiająco.

Poczuła coś mokrego. Spojrzała w dół. Fala dosięgała jej butów.

- Świetnie! - zawołała.

Próbowała odskoczyć, ale było za późno. Zdjęła buty i wylała wodę.

- Tylko tego brakowało - powiedziała do siebie.

- Czego innego można się spodziewać, jeśli spaceruje się po plaży w pantofelkach?

Aż podskoczyła z przestachu, lecz zaraz się opanowała. I nie odwróciła się w kierunku, skąd dobiegał męski głos. I tak wiedziała, że to Cole. Dałaby wiele, żeby zniknął.

- Panno Sancroft, radzę zdjąć pończochy. Piasek na plaży jest po to, żeby pieścić stopy i łagodnie przesypywać się między palcami - dodał złośliwie, choć jego uśmiech był niemal dobrotliwy.

Jen udała, że nie słyszy, tylko energicznie wytrząsała resztki wody z zamszowych pantofli. Nagle poczuła, że dotknął jej ramienia.

- Proszę - powiedział.

Niechętnie spojrzała w jego kierunku. Wyciągnął do niej rękę z mrożoną herbatą.

Orzeźwiająco pachniała miętą. Znów ją zaskoczył. Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- To dla mnie? - A gdy tylko się uśmiechnął, dodała: - Mam zajęte ręce.

Bez słowa wziął od niej buty i rzucił je na trawnik przed domem.

- Już są wolne - stwierdził, podając jej szklanekę. Spojrzała z wyrzutem.

- Wyrzucił pan moje pantofle. Roześmiał się głośno.

- Panno Sancroft, proszę się napić. Upiecze się pani w tych wszystkich ciuchach.

Nie podobał jej się taki zupełny brak respektu.

- Nie mam ochoty na herbatę - odpowiedziała. -I wcale nie jest mi za gorąco.

Cole powstrzymał uśmiech.

- Oczywiście.

Spojrzała na niego badawczo. Nie była pewna, czy

tylko próbował się z nią droczyć, czy też chciał ją obrazić. Uniósł szklanę, jakby wznosił toast.

- Duża strata. Robię świetną herbatę.

Nie chciała się przyznać, lecz było jej gorąco, niewygodnie i właśnie zniszczyła doskonale pończochy. Mruknęła coś pod nosem i odwróciła się tyłem. Odwinęła skraj spódnicy i zaczęła ściągać jedną z pończoch, coraz bardziej zła i zdenerwowana.

- Co robimy? - spytał.

- Proszę mi dać spokój.

- Jednak zdejmujemy pończoszki. Rzuciła mu złowrogie spojrzenie.

- Pewnie ma pan świetny ubaw. Przekrzywił głowę.

- To powinno się robić przy muzyce. Zignorowała go. Otarła pot z czoła. Rzeczywiście ubrała się bez sensu jak na tę porę roku.

Miała nadzieję, że Cole wreszcie sobie pójdzie, ale usiadł obok ze skrzyżowanymi nogami.

- Proszę nie przerywać - poprosił, gdy rozpięła dwa guziki bluzki.

- Koniec przedstawienia - oświadczyła zdecydowanie, bez cienia uśmiechu.

- Szkoda - stwierdził smutnym tonem. - Może jednak łyk herbaty?

- Nie, dziękuję. Wybieram się na spacer.

- Dobry pomysł. - Wskazał na fale. - Najlepiej po mokrym piasku. Będzie trochę chłodniej.

- Jestem z Dallas, znam plaże Zatoki Meksykańskiej i nie potrzebuję żadnych instrukcji.
- Niewątpliwie. Chociaż większość pań zdejmuje pończochy przed wejściem na plażę.
- Och, jak widzę, ubóstwia pan pouczać innych. Ruszyła w stronę wody. Oczywiście miał rację. Mokry piasek orzeźwiająco chłodził stopy.

- Nie powiedziała pani, skąd to gwałtowne poszukiwanie męża - usłyszała tuż za sobą.
Cóż, ten natręt ruszył za nią. - Jest pani w ciąży?

Nie odpowiadała jej ani jego towarzystwo, ani temat rozmowy. Odwróciła się z niechęcią.

- Proszę za mną nie chodzić, a dziecka się nie spodziewam.

- Mnie też wydało się to nieprawdopodobne, jako że konserwatywne panny zwykły rozmnażać się dopiero po ślubie. - Popatrzył na nią krytycznie. - Cóż, nie da się ukryć, że nie jest pani symbolem seksu, ale czy nie stać pani na nic więcej, niż szukanie męża przez ogłoszenia?

Zatrzymała się i spojrzała na niego.

- A pan nie jest symbolem dobrych manier. Nie wiem, czy brak panu wyczucia z powodu ułomności umysłowej, czy też chodzi o skazę genetyczną zwaną wrodzonym grubiaństwem.

- Po prostu jestem ciekawy.

- Hm, ciekawy. Dam panu pewną radę. Niech pan przestanie się wtrącać w moje prywatne sprawy i zajmie się swoją robotą. Tak będzie lepiej dla wszystkich.

Patrzył na nią przez chwilę.

- Gdyby moja pracownica zrobiła coś tak idiotycznego, jak szukanie męża przez ogłoszenia, natychmiast bym ją zwolnił.

Patrzył na nią tak długo, aż poczuła się nieswojo. Nie mogła zrozumieć, jakim prawem ośmielał się mówić do niej w ten sposób. Tym razem naprawdę udało mu się wyprowadzić ją z równowagi.

- Cóż, panie Noone, nie sądzi pan, że sposób, w jaki zamierzam znaleźć męża, jest tylko moją sprawą i pracodawcy nic do tego? Gdyby mój szef próbował się w to wtrącać, dałabym mu za to po twarzy. Niech więc pan doceni swoje szczęście, że nie jest pan moim zwierzchnikiem.

Cole patrzył, jak oddalała się wzdłuż plaży. Z tego domu mogli korzystać tylko pracownicy jego firm, więc Jen była jego podwładną. Oczywiście miała rację, że pracodawcy nie powinno obchodzić, w jaki sposób szukała męża. Jego osobiste uprzedzenia nie powinny mieć nic wspólnego ze sprawami służbowymi.

Nie zamierzał jej mówić, że jednak jest jego pracownicą. W każdym razie jeszcze nie teraz. Wprawiała go w zakłopotanie, intrygowała i złościła. Wzięła go za rzemieślnika, który został wynajęty na lato do bieżących napraw. Już tylko z tego powodu warto było poobserwować, jak potraktuje go kobieta, która nie wie o jego bogactwie i pozycji. Na razie ten drobny eksperyment nie poprawił mu wyobrażenia o sobie samym.

Jednak przede wszystkim zżerała go ciekawość. Musiał się dowiedzieć, dlaczego postanowiła zdobyć męża tak samo, jak inni ludzie kupują używane telewizory. Swoim postępowaniem budziła w nim niemiłe uczucia. Uparta, wyrachowana idiotka! - pomyślał. Co za kretyn powiedział, że kobiety to uczuciowe i romantyczne stworzenia? Cole poznał wiele kobiet, które nie kierowały się uczuciem przy wyborze partnera. Liczyły się pieniądze, władza, układy, prestiż. Dręczyło go pytanie, czym kierowała się Jen. Dlaczego zdecydowała, że jej małżeństwo nie będzie oparte na miłości? Zdawał sobie sprawę, jak bardzo uczucia mogą skomplikować życie. Jego ojciec, Albert Barringer, nigdy nie przestał kochać Adriannę Bourne, dwudziestoletniej modelki, z którą przeżył kiedyś romans. Podstarzały biznesmen był na tyle rozsądny, żeby się zorientować, że młoda piękność chce wyłącznie skorzystać z jego pieniędzy i pozycji. Jednak Albert się zakochał. Korzystał więc z uroków związku, zdając sobie sprawę, że wcześniej czy później musi się skończyć. Jak było do przewidzenia, Adriannę w końcu go porzuciła, lecz Albert nigdy źle się o niej nie wyrażał. Także wtedy, gdy bez najmniejszego oporu, a nawet z ulgą, zostawiła mu nowo narodzonego syna, który był owocem ich związku. Faktycznie sprzedała chłopca, bo w zamian zażądała prawa do korzystania z hollywoodzkich kontaktów Alberta.

Tym dzieckiem porzuconym przez matkę był Cole i świadomość tego faktu bardzo mu ciążyła przez całe dotychczasowe życie. Przyrzekł sobie, że sam nie popełni takiego błędu. Zakocha się dopiero wtedy, gdy będzie miał pewność, że jego wybranka darzy go takim samym uczuciem.

Spojrzał jeszcze raz na kobietę idącą wzdłuż plaży. Zatrzymała się, by podnieść muszlę wyrzuconą przez wodę. Wytrząsnęła z niej piasek.

- Miłość, panno Sancroft, to zbyt poważna sprawa, żeby z niej żartować - mruknął do siebie. - Czemu ma służyć ta dziwna intryga?

ROZDZIAŁ TRZECI

Cole ciął suche gałęzie, które poprzedniego dnia usunął z dębu. Miał dużo czasu, żeby myśleć o irytującej i jednocześnie fascynującej pannie Sancroft. Mimo że pracował na zapleczu domu, słyszał przyjeżdżające i odjeżdżające samochody. Za każdym razem, gdy na żwirowym podjeździe zjawiał się kolejny pojazd, czuł narastającą złość.

Dodatkowo stresowały go wspomnienia dzieciństwa. Wymykał się do kina, żeby na wielkim ekranie zobaczyć swoją matkę. Uśmiechała się, grała wrażliwą i delikatną. Adrianę Bourne zrealizowała swoje marzenia i została gwiazdą. Mimo upływu lat, nadal była niezwykle atrakcyjną kobietą i mimo że niczego już nie musiała udowadniać, czasami występowała w rolach charakterystycznych. Na trwałe zapisała się w historii Hollywoodu, była jednym z jego symboli. Obecnie miała piątego męża. Brała udział w życiu publicznym, wspomagała liczne akcje charytatywne, a jednej z fundacji dobroczynnych ofiarowała rzecz wartą miliony, czyli swój wizerunek. Fotografia ze słynnym, pełnym dyskretnego ciepła i urokliwej dobroci uśmiechem, stała się logo tej instytucji.

Jednak Cole uważał matkę za osobę wyrachowaną i pozbawioną wyższych uczuć, za kobietę, która porzuciła własne dziecko i nigdy już się z nim nie skontaktowała, ani nawet nie zainteresowała jego losem.

Była szósta po południu. Cole otarł pot z czoła i rozprostował zmęczone ramiona. Był zły na siebie, zbyt mocno bowiem zajmowały go sprawy panny Ważniackiej, która jego letni domek zamieniła w biuro matrymonialne. Przecież to nie jego sprawa. Niech robi, co chce. Jednak gdy przez tylne drzwi wyszła na taras, żeby popatrzeć na morze, przerwał pracę i oparł się o nagrzaną słońcem ścianę. Obserwował Jen ponad stertą drewna. Usiadła na krześle, zdjęła pantofle i ku jego zaskoczeniu zaczęła ściągać pończochy, odsłaniając przy tym uda. Była zamyślona i najwyraźniej nie przyszło jej do głowy, że ktoś mógłby gapić się na nią. A Cole robił to z przyjemnością, bowiem nogi miała naprawdę zgrabne. Zawsze to miły przerywnik w znojmym losie rzemieślnika... W granatowej spódnicy i białej bluzce z krótkimi rękawami wyglądała jak uczennica. Nagle Cole zawstydził się. Co on, do diabła, robi? Bawi się w podglądacza? Powinien odejść albo jakoś dać jej do zrozumienia, że nie jest sama.

Jen przez chwilę obserwowała krajobraz, potem ze zmarszczonym czołem zeszła po schodkach na trawnik. Wyglądała pięknie nawet z włosami zaczesanymi gład-

ko do tyłu. Cole uniósł kłodę drewna i z hałasem rzucił na stertę. Jen spojrzała w jego kierunku.

- Dzień dobry - powiedział i skinął głową.

- Zawsze pan tu jest?

Ściągnął robocze rękawice i odłożył na bok.

- Dzisiaj od samego rana, szanowna pani. Skrzywiła się.

- Nie musi się pan kryć po krzakach. Roześmiał się.

- Jeśli chodzi o zdejmowanie pończoch, to w kinie widywałem bardziej pikantne sceny.

Czy dobrze się domyślam, że dzień nie był zbyt udany?

Odwróciła wzrok w stronę zatoki.

- Wręcz przeciwnie, dzień jest doskonały - odpowiedziała i ruszyła po trawniku w stronę plaży. - Do widzenia.

Jednak Cole nie zamierzał tak łatwo rezygnować. Chrząknął i poszedł za nią.

- Doskonały? Czyżby wreszcie powiodło się polowanko na męża?

Dogonił ją przy furtce, odsunął zasuwkę i przepuścił Jen przodem.

- Dziękuję - mruknęła i uniosła brodę do góry.

- Naprawdę są jakieś dobre wieści? Spojrzała na niego bez słowa.

- Czy mogłaby pani mi przypomnieć, dlaczego tak desperacko szuka pani męża? Jakoś wyleciało mi z pamięci. A zatem?

Spojrzała na niego z miną, która wyraziście świadczyła, że ta rozmowa jej nie bawi.

- Chcę się przejść po plaży. Po mojej plaży, bo zapłaciłam za wynajem całej posesji. A może wymagam zbyt wiele?

Jej wrogie spojrzenie speszyłoby niejednego. Odwróciła się i poszła dalej.

- W porządku - powiedział. Źle się do tego zabrał. Postanowił spróbować z innej beczki. Uważnie popatrzył na Jen. - A więc zastanówmy się. Nie jest pani w ciąży, gdyby znudziło się pani nazwisko Ważnia-cka... pardon, Sancroft, nie potrzeba ślubu, by je zmienić. .. a więc z pewnością ma to coś wspólnego z pracą! - zakończył triumfalnie.

Zatrzymała się gwałtownie.

- Nie mówiłam nic na temat awansu. Czy Ruthie coś wypaplała?

Do diabła, a więc miał rację, choć wcale nie był z tego dumny. Podszedł bliżej, udając, że niewiele go to obchodzi.

- Ruthie nie pisnęła słowa - zapewnił. - Właśnie sama przyznała się pani do tego.

Wzięła głęboki oddech. Poczerwieniała.

- Dałam się podejść. Takie manipulowanie ludźmi to zwykłe świństwo.

Pokręcił głowa.

- Nie większe niż to, jakie chce pani zrobić Bogu ducha winnemu facetowi.

Otworzyła szeroko oczy.

- O czym pan mówi?

Nie potrafił dłużej ukrywać irytacji.

- Mówię o tym biedaku, z którym weźmie pani ślub. Co z nim będzie, gdy już przestanie być potrzebny? Może otrzyma odszkodowanie? - pytał, nie czekając na odpowiedź. - Jaki awans może być tak piekielnie ważny, żeby urządzić z jego powodu szaleńcze polowanie na męża? W jakiej pracy żądają odpowiedniego męża?

Cofnęła się o krok, zaskoczona niespodziewanym atakiem. Jednak nie zamierzała się poddać.

- To moja sprawa. Natomiast, żeby było jasne, jeśli zdecyduję się na małżeństwo, to będzie na zawsze, a nie na chwilę!

Roześmiał się. Nie mógł uwierzyć w to, co słyszał.

- Czyżby?

- Uważa pan, że kłamię? Spojrzał na nią z poważną miną.

- Jeśli nawet nie, to sama się pani oszukuje.

- Za wiele sobie pan pozwala! - Objęła skronie, jakby chwycił ją ból głowy. - Nie zna mnie pan. Nie ma pan prawa mnie oceniać!

- Znam wiele takich kobiet.

Zamachnęła się, lecz Cole spodziewał się ataku. Chwycił jej dłoń, nim zdążyła dosięgnąć jego policzka.

- Nie wiem, jakie kobiety pan zna i przysięgam, że nic mnie to nie obchodzi! -

Rozpaczliwie próbowała uwolnić dłoń. - Proszę mnie puścić!

- Żebym oberwał po pysku? Nie jestem głupi.
 - Och, czyżby? - syknęła wściekle. Mruknął coś pod nosem i uwolnił jej rękę.
 - Wymyślanie od głupków nie ma sensu - powiedział - bo w pani ustach brzmi to jak komplement. Przecież na takich facetów pani poluje. Tylko kompletny dureń mógłby się wpakować w takie idiotyczne małżeństwo.
 - Więc jest pan doskonałym kandydatem! - zawołała bliska łez.
 - Cieszę się. Kiedy moja kolej na rozmowę?
- Jen była nie mniej zaskoczona niż Cole. Zastanawiał się, skąd przyszło mu do głowy tak kretyńskie pytanie.
- Słucham? - spytała ochrypłym głosem.
- Cole przeczesał włosy palcami. Zachowywał się złośliwie, by potrząsnąć Jen i zmusić ją do logicznego myślenia, jednak sytuacja wymknęła się spod kontroli. By zachować twarz, nie mógł się teraz wycofać.
- Jasno wynika, że z powodu notorycznej głupoty jestem świetnym kandydatem na pani męża. Cieszę się, że wreszcie ktoś mnie docenił. Kiedy rozmowa kwalifikacyjna?
 - Niech pan nie będzie śmieszny - oświadczyła z morderczym błyskiem w oku. - Mój mąż musi być człowiekiem na odpowiednim poziomie. Wyższe wykształcenie to podstawa - wyjaśniła. Zastanawiała się, jakich użyć argumentów, by majster zrozumiał, że w żadnym wypadku nie zostanie jego żoną. - Musi umieć prowadzić roz-

mowy z inteligentnymi, wykształconymi biznesmenami, którzy mają pieniądze, pozycję i wpływy.

Wzniósł oczy do nieba na znak, że gardzi taką argumentacją.

- Nie obchodzi mnie, co pan o tym sądzi. Istnieją mężczyźni, którzy potrafią zrozumieć, że dwoje ludzi o podobnych poglądach na życie może stworzyć udane małżeństwo.

- Bzdura.

Wymienili wrogie spojrzenia.

- Nie spodziewam się, żeby pan to zrozumiał. Proponuję wrócić na drzewo i obierać banany.

- Nazywa mnie pani małpą? Odwróciła się w stronę morza.

- Dajmy już temu spokój. Chcę tu być sama. To powinna zrozumieć nawet niezbyt rozgarnięta małpa.

Samotna, zagubiona kobieta, pomyślał ze współczuciem. Rozpaczliwie chce awansować, więc... Zaraz, zaraz! - ofuknął się w duchu. To cyniczna cwaniara, która zamierza dla kariery wykorzystać jakiegoś biednego idiotę!

- Tak przy okazji - spytał - iluż to bystrych, inteligentnych laureatów Nobla przyjęło pani propozycję?

Tylko zagryzła usta.

- Aż tylu? - zdumiał się obłudnie. Spojrzała na niego ukradkiem.

- Mam wysokie wymagania.

Cole pomyślał, że brak sukcesu wynikał także z jej winy. Obszedł ją dookoła, przyglądając się uważnie ze wszystkich stron.

- Hm - mruknął, kończąc obchód.

- Co to ma znaczyć?

- Mężczyźni też mają wymagania, panno Sancroft. Jej niespokojne spojrzenie świadczyło, że trafił w czuły punkt.

- O czym pan mówi?

- Proszę na siebie spojrzeć. Może nie mam tak wspaniałego pochodzenia, jak pani kandydaci, ani nie kończyłem elitarnej... no, żadnej uczelni, ale wiem, czego chcą mężczyźni. - Przerwał na chwilę dla większego efektu. - Na pewno nie zarozumiałej, oziębłej dziewczyny.

- Zarozumiałej? - zaczęła ostrym tonem. - Oziębłej? Jak pan śmie!

O dziewczynie nie wspomniała, co dało mu do myślenia.

- Pan nie wie, o czym mówi. - Ostro ruszyła przed siebie.

- Ależ wiem! - powiedział, chwytając ją za ramię. - Panno Sancroft, powinna pani posłuchać eksperta.

Gwałtownie odwróciła się w jego stronę.

- Pan jest ekspertem w sprawach kobiet?

- Mhm. - Uśmiechnął się z fałszywą skromnością.

- Na takich jak pan kompletnie mi nie zależy.

- Tacy jak ja z pewnością wiedzą najlepiej, czego mężczyźni szukają w kobietach.

Sięgnął do jej fryzury i wyciągnął kilka spinek przytrzymujących włosy, które swobodnie spadły na ramiona.

- Co pan wyrabia?

- Proszę potrząsnąć głową.

Spojrzała na niego, jakby przemówił w jakimś dziwnym, nieznanym języku.

Nie miała zamiaru go posłuchać, więc odwrócił ją tyłem i przeczesał włosy palcami. Były gęste i jedwabiste. Kasztanowe loki okazały się dłuższe, niż sądził. Siegały kilkanaście centymetrów poniżej ramion. Dopiero teraz mogły swobodnie kołysać się na morskim wietrze. Cole sięgnął do najwyższego guzika jej bluzki.

- Mistrzu, dosyć tych poprawek - zaprotestowała. - Guzik potrafię rozpiąć sama.

Cofnął się o krok i spojrzał krytycznie.

- Oczywiście. Prenumeruje pani żurnal dla zakonnicy? Bo tylko tam mogą polecać takie stroje.

Nie mógł oderwać oczu od jej włosów rozwiewanych przez wiatr. Połyskiwały w świetle zachodzącego słońca, budząc niepokój Cole'a. Wreszcie zdecydowała się rozpiąć bluzkę pod szyją i wystawić na słońce fragment dekoltu. Cole zamierzał tylko pożartować z Jen, jednak stało się tak, że coraz bardziej się nią interesował.

Zirytowało go to. Sam był sobie winien. Kiwnął ręką w jej kierunku.

- Nigdy nie upoluje pani męża, jeśli nie zadba pani o to, by wyglądać bardziej atrakcyjnie. Bystra kobieta dyskretnie daje do zrozumienia, czego mężczyzna może od niej oczekiwać. Zaczął żałować, że wygłupił się z rolą eksperta do

spraw damsko-męskich. Sam już nie wiedział, czy sobie, czy też Jen sprawił większą przykrość.

- Pewnie uważa pan, że powinnam zaczynać od striptizu? Chce pan powiedzieć, że wszyscy mężczyźni myślą tylko o jednym?

- Kochanie, nie ma się co oszukiwać. Mężczyźni przede wszystkim zwracają uwagę na to, co widzą.

Znów się wygłupił, bo powiedział „kochanie”. Ta rozmowa przestała go bawić. Wiatr wydał bluzkę Jen, ukazując skrawek koronkowego stanika. Cole zmusił się, żeby patrzeć jej w oczy.

- Może pani obiecywać złote góry i do tego rewelacyjne ubezpieczenie na życie, ale nic z tego. Dopiero kawałek gołego ciała zrobi odpowiednie wrażenie.

- Akurat! - odpowiedziała podniesionym głosem. - Małżeństwa z rozsądku zawierane są codziennie. Na przykład moi rodzice są zgraną parą. Świetnie się rozumieją, a nigdy nie byli w sobie zakochani.

- Gdy na panią patrzę, nie wątpię, że to prawda. Mina Jen świadczyła, że sprawił jej ból. Cole poczuł

się winny. Nie powinien był tego mówić. Po prostu nie zapanował nad językiem, słysząc, jak beznamiętnie mówi o tak intymnym i pełnym emocji przeżyciu jak ślub. Zamrugła, powstrzymując łzy.

- Nie wiem, dlaczego zadaję sobie tyle trudu, żeby to tłumaczyć. Jeśli rozmawiamy o uczuciach, historia moich dziadków jest najlepszym dowodem, że mam rację. Babcia była wdową. Miała dwóch małych chłop-

ców i żadnego dochodu. Dziadek był wdowcem i miał farmę. Wzięli ślub wyłącznie z rozsądku. Dorobili się jeszcze czwórki dzieci. Mój ojciec był jednym z nich. Babcia i dziadek zakochali się w sobie. Właściwie nie wiadomo, kiedy to się stało, ale było to szalone uczucie. - Odgarnęła włosy. - Czyli, panie Noone, w małżeństwie z rozsądku też może być miejsce na miłość. Myślę, że takie uczucie czasami bywa trwalsze niż ślepe zauroczenie. Oprócz tego ja... - Zawahała się i pokręciła głową. - To wszystko, co mam do powiedzenia. Zastanawiał się, co pominęła. Wzruszył ramionami.

- Widzę, że temat został dokładnie przemyślany. Rzuciła mu krytyczne spojrzenie. Nie wierzyła, że go przekonała.

- Nie należę do osób, które pochopnie podejmują decyzje.

- Chce pani mieć dzieci z tym wybrańcem? Pytanie przyszło mu do głowy zupełnie niespodziewanie. Teraz niecierpliwie czekał na odpowiedź.

- Tak, mam taki zamiar - odpowiedziała spokojnie. - Chociaż to nie pana sprawa.

Nie mógł uwierzyć. Dała ogłoszenie, szukając męża, żeby zapewnić sobie awans. Przyjął to do wiadomości, chociaż z oporami. Jednak płodzenie dzieci w takim kalekim związku...

Wprost nie mieściło mu się to w głowie.

- Niech pani nie będzie naiwna. Wykształcony, inteligentny człowiek sukcesu nie poświęci kariery, żeby

spełniać rolę żony i niańki, a nie pana domu. Może lepiej zainteresować się jakimś emerytem, który chętnie spędzałby wieczory przy kominku w towarzystwie młodej żony. Albo kimś, kto stracił dobrą pracę i nie ma wielkich perspektyw.

- Na przykład kimś takim jak pan?

Odwróciła się i poszła przed siebie. Cole patrzył za nią. Mimo niezbyt powabnego stroju, wyglądała naprawdę atrakcyjnie. Z niechęcią musiał też przyznać, że podziwiał jej zdecydowanie i upór.

Włożył ręce do kieszeni dzinsów i zawrócił w stronę domu. Potrzebował odrobiny spokoju i samotności.

- Dlaczego nie jestem teraz na jachcie z jakąś miłą, chętną dziewczyną? - mruknął do siebie.

Jen usiłowała nie zwracać uwagi, że kłopotliwy pan majster przygotowywał sobie grilla na tyłach domku. Nic nie mogła poradzić, że mieszkając tuż obok, mógł obserwować każde jej wyjście na plażę. Trudno. Musiała wyrwać się z domu, odprężyć się, spacerując wzdłuż fal. Wzięła głęboki oddech i cicho otworzyła tylne drzwi. Starła się zachowywać bezszelestnie. Miała nadzieję, że Cole będzie zbyt zajęty rozpalaniem ognia, żeby ją zauważyć. Szybko zbiegła po schodkach, błyskawicznie przemierzyła trawnik i zamknęła za sobą furtkę.

- Uff, udało się - mruknęła, gdy bosymi stopami dotknęła piasku.

Odwróciła się, żeby sprawdzić, co robi jej prześła-

dowca. Niestety, nie był zajęty grillem, tylko gapił się na nią. Gdy zauważył jej spojrzenie, uniósł widelec w niemym pozdrowieniu.

Zignorowała ten gest przyjaźni i ruszyła wzdłuż plaży. Oddychała głęboko, żeby nacieszyć się zapachem morskiej bryzy, a zarazem czuła zapach mięsa pieczonego przez Cole'a.

Zdała sobie sprawę, jak bardzo jest głodna. Rozmowy przeciągnęły się na porę lunchu, a śniadanie składało się tylko z kawałka tostów i filiżanki kawy.

Niestety, Ruthie, podobnie jak Jen, nie była najlepszą kucharką, więc każdego wieczoru jadły coś na zamówienie. Już im się to znudziło. Jen dałaby wiele za domowy obiad. Teraz ten piekielny Cole drażnił ją smakowitym zapachem mięsa pieczonego na ruszcie. Jakby nie wystarczyło mu, że ośmielił się ją pouczać i dał do zrozumienia, że jest mało kobieca.

Spacerowała, starając się zapomnieć o kolejnym nieudanym dniu. Zaczęła się obawiać, że nie ma tak wielu logicznie myślących mężczyzn, jak sobie wyobrażała. Słowa Cole'a dźwięczały jej w uszach. Może po prostu wyobraziła sobie, że jakiś biznesmen zdecyduje się wziąć z nią ślub, przeniesie się do Dallas, zajmie się prowadzeniem domu i wychowaniem czwórki dzieci oraz będzie jej pomagał w pracy zawodowej.

Wiele żon poświęca się, pomagając mężom w robieniu kariery. Jej matka pomagała ojcu zarządzać niewielką uczelnią w Teksasie. Była jego prawą ręką i partner-

ką. Jen kopnęła górkę piasku. Pomyślała, że Cole może mieć rację: potrzebowała nie męża, ale żony.

Godzinę później wracała z plaży. Spacer niewiele pomógł, wcale nie czuła się zrelaksowana. Wciąż dręczyła ją myśl, że zmarnowała trzy dni na bezsensowne rozmowy i nic nie wskazywało, że będzie lepiej. Czyżby miała ponieść klęskę?

Znów dotarł do niej zapach mięsa i poczuła jeszcze większy apetyt. Spojrzała w stronę domku i stanęła jak wryta. Cole i Ruthie siedzieli rozparci wygodnie na rozkładanych krzesłach przy stoliku przykrytym kraciastym obrusem. Trzecie krzesło było wolne.

Domyśliła się, że to miejsce jest dla niej. Była głodna i przepadała za potrawami z rusztu. Gdyby nie to, nawet nie rozważałaby, czy dołączyć do majstra i asystentki.

Zastanawiała się gorączkowo, co teraz powinna zrobić. Ruthie wiedziała, że nie ma żadnych planów na wieczór. Wolne krzesło było dowodem, że Cole też już o tym się dowiedział. Pokręciła głową. Ruthie, odpowiesz mi za to, pomyślała ze złością.

Oczywiście mogła skłamać, że czeka na ważny telefon, potem zjeść tost o smaku tektury i uznać, że jest po obiedzie. Ewentualnie mogła pojechać do przydrożnego baru i przekąsić coś w samotności. Pozostawało jeszcze trzecie rozwiązanie, świadczące o jej słabym charakterze: przyłączyć się do nich.

Decyzja zapadła szybko. Gdy tylko Ruthie ją zauważyła, natychmiast zaczęła machać do niej i coś wykrzy-

kiwać. Jen nie mogła udać, że nie dostrzega tak subtelnego zaproszenia. Cóż, błyskawicznie pochłonie pyszne mięsko i zaraz potem da nogę.

Zapach opiekane go kurczaka doprowadził ją prosto do stołu. Cole przygotował mnóstwo jedzenia: pieczone ziemniaki parowały na półmisku, warzywna sałatka przyciągała oczy cudowną kolorystyką, a kawałki pieczone go kurczaka tworzyły zgrabną górkę na metalowym talerzu. Obok stał dzbanek mrożonej herbaty pokryty rosą.

- Wreszcie jesteś - powiedziała Ruthie, uśmiechając się szeroko. - Już myśleliśmy, że wpadłaś do morza i pożarł cię zgłodniały rekin.

Jen spojrzała na nią z niepokojem. Miała nadzieję, że w czasie miłej pogawędki Ruthie nie wypaplała, iż był to kolejny nieudany dzień.

Asystentka odsunęła loki z twarzy i strząsnęła okruszyny z dzinsów.

- Czas, żebym zadzwoniła do Raymonda - oznajmiła i wyciągnęła do Cole'a rękę na pożegnanie. - Dziękuję, panie Noone. Uratował mi pan życie. Gdybym dziś znów musiała jeść hamburgera albo inne fabryczne świństwo, popadłabym w ciężką depresję.

- Ruthie, chyba nie chcesz odejść? - zaprotestowała Jen.

- Poszłaś na długi spacer, a ja umierałam z głodu.

- Zdradziecka asystentka uśmiechnęła się promiennie.

- Nie byłam w stanie dłużej czekać i już się najadłam.

A teraz pędzę. Przecież wiesz, że Raymond zawsze o siódmej czeka na mój telefon.

- Nie wzięłaś komórki? - nie ustępowała Jen.

Cole natychmiast domyślił się, że nie chce zostać z nim sama. Szczególnie musiała na to wpłynąć wczorajsza rozmowa, kiedy bezczelnie zaczął ją pouczać i zmieniać jej fryzurę. Najwyraźniej czuła się niezręcznie w jego towarzystwie, tym bardziej że poświęciła trochę czasu, żeby wyglądać nieco atrakcyjniej.

Nie była to wielka zmiana, ale beznadziejne wyniki rozmów z kandydatami zmusiły ją do podjęcia jakichś kroków w sprawie wyglądu. Zdecydowała, że kompromis jest konieczny. Jak zwykle miała na sobie szary sweter, ale po raz pierwszy nie miała pod nim bluzki.

Uznała, że dekolt jest za głęboki, więc zawiązała na szyi różowo-szarą apaszkę, która przy okazji dodała jej odrobinę kobiecego wdzięku. Pozostawiła włosy spadające na ramiona. Spódnicę podciągnęła nieco wyżej, dołożyła pasek. Dzięki temu wreszcie widać było kolana.

Mimo tych wysiłków, dzień trudno było uznać za udany. Zauważyła tylko, że rozmówcy rzadziej spoglądali jej w oczy, natomiast chętnie zerkali na odsłonięte nogi. Nadal nie wierzyła, że wszyscy mężczyźni patrzą na kobiety jak Cole Noone, jednak dzisiejsi kandydaci w całości musieli należeć do jego paczki.

- Zostawiłam komórkę w domu - wyjaśniła Ruthie. - Poza tym na pewno nie chcielibyście słuchać mojej

rozmowy z Rayem. Kiedy spędzamy osobno więcej niż dwie noce, strasznie świntuszimy przez telefon.

Jen poczuła, że policzki jej poczerwieniały. Zupełnie nie wiedziała, co powiedzieć. Cole roześmiał się głośno. Ruthie pomachała im wesoło.

- Kolacja była wspaniała. Cole, zostań moim kucharzem, błagam.

Odeszła, a Cole spojrzał na Jen. Trochę ją to speszyło, bo gapiła się na niego już dłuższą chwilę.

- Dziś wygląda pani... niemal jak kobieta - zauważył. Nie mogła zrozumieć, co ten facet miał w sobie, że

pozwalala mu na złośliwości. Od czasu rozstania z To-nym zdarzało jej się frywolnie myśleć o mężczyznach, jednak zawsze udawało jej się zwalczyć takie uczucia. Cole niewątpliwie był bardzo przystojny, ale musiał mieć w sobie coś więcej, jeśli na jego widok reagowała przyspieszonym biciem serca. Teraz oparł się wygodnie i skrzyżował ręce na gołej piersi.

Czy nie stać go na koszulę? - pomyślała.

Cole wskazał wolne krzesło skinieniem głowy.

- Proszę się rozgościć. Wygląda pani na zmęczoną. Przełknęła ślinę. Żałowała, że nie ma tyle silnej woli,

żeby po prostu odejść. Była głodna, a jedzenie wyglądało nad wyraz zachęcająco. Przestała toczyć wewnętrzną walkę. Usiadła i unikając patrzenia mu w oczy, skierowała wzrok w górę na gałęzie najbliższego drzewa.

- Chętnie. Jestem zbyt zmęczona, żeby się sprzeczać, i zbyt głodna, żeby udawać obrażoną.

Przez chwilę panowała cisza, słychać było tylko szum morza i krzyki mew.

- Mięso czy kurczak? - spytał.

- Zostały jakieś udka?

Podał jej talerz z kawałkami kurczaka. Wzięła jedną nóżkę, lecz nim zdążył odstawić resztę, sięgnęła po następną. Podawał jej pozostałe półmiski, żeby spróbowała wszystkiego. Gdy zaczęła jeść, napełnił jej szklankę herbatą. Nie odzywał się.

Po kilku minutach unikania wzroku Cole'a Jen nie wytrzymała i spojrzała w jego kierunku. Siedział ze skrzyżowanymi rękami i badawczo jej się przyglądał.

- Naprawdę bardzo smaczne - stwierdziła z przekonaniem. Musiała przyznać, że nawet kurczaki przyrządzone na ruszcie przez jej ojca nie były tak soczyste i pachnące.

Towarzystwo Cole'a nadal ją drażniło, ale Ruthie miała rację, że kucharz z niego był doskonały.

Zacząła się zastanawiać, o czym myślał, przyglądając się jej tak zawzięcie. Spróbowała odrobinę sałatki, dokończyła pieczonego ziemniaka. Czowała napięcie narastające z każdym kęsem.

- Nie mogę jeść, kiedy pan tak mi się przygląda. Proszę powiedzieć, o co chodzi.

Pokręcił głową.

- Zastanawiam się, jaka praca może być warta takiego poświęcenia, żeby z jej powodu aranżować małżeństwo. Dlaczego uważa pani, że jako osoba samotna nie

dostanie pani awansu? - Wzruszył ramionami. - Nie wierzy pani we własne zalety i umiejętności?

Dzień był stresujący, a te pytania ostatecznie ją rozdrażniły. Gwałtownie uniosła się z krzesła, które przewróciło się na trawę.

- Problem nie polega na tym, że brak mi umiejętności, lecz na tym, że nie tylko one decydują o awansie. Pracuję w bardzo konserwatywnej firmie, a szef ma niezwykle staroświeckie poglądy. Dlatego zdecydowałam się na to wszystko. Żeby dostać awans, muszę spełnić jego warunki.

- Rozumiem - powiedział Cole nieco podejrzliwym tonem. - Ale co do tego ma małżeństwo?

- Wszystko! - stwierdziła stanowczo. Wreszcie miała okazję powiedzieć, co myśli na ten temat. - Właściciel jest idiotą, a jego poglądy są rodem ze średniowiecza. Nie zgodzi się, żeby prezesem została niezamężna kobieta!

- Prezesem? - zdziwił się, unosząc brwi. Jego niedowierzanie jeszcze bardziej ją rozgoryczyło.

- Tak, prezesem! Nie wiem, co pana tak zaskoczyło. Jestem jeszcze dość młoda, ale moje kwalifikacje i umiejętności są bez zarzutu. Mówiąc wprost, jestem bardzo dobra w tym, co robię, i z całą pewnością zasługuję na stanowisko prezesa. Lecz temu skretyniałemu właścicielowi to nie wystarcza. Muszę być zacną matroną z mężem u boku! Och, gdybym mogła dorwać tego stetryczalego dziadygę... Rozszarpałabym go na

kawałki, chyba żeby wcześniej zmienił poglądy. Jak można ludziom narzucać coś takiego?! - Powiedziała, co ciążyło jej na sercu, i od razu poczuła się lepiej. W miarę jak mówiła, odzyskiwała pewność siebie. - Już kilkakrotnie dawał mi pan do zrozumienia, że jestem głupia i pouczał mnie pan z przemądrzałą miną. Cóż, teraz ja pana pouczę. Pewien filozof powiedział, a ja w pełni się z nim zgadzam, że jeśli ktoś z determinacją zmierza do jakiegoś celu, ludzie biorą go za głupca, nie są bowiem w stanie pojąć, o co mu chodzi. Wolą unosić się na fali życia, niż chwycić za wiosła. A może zazdroszczą temu, kto ma odwagę walczyć o swoje marzenia, i widząc swoją małość, starają się go poniżyć, nazywając szaleńcem, narwańcem, głupcem? Otóż tak się składa, że mam swój cel i nie obchodzi mnie, co sądzą o tym inni. Mogą sobie gadać do woli, a ja i tak pójdę swoją drogą. To się nazywa: realizować swoje marzenia. Jeszcze jakieś pytania, panie Noone? Cole znów spojrzął z niedowierzaniem.

- Tylko jedno - powiedział, schylając się po przewrócone krzesło. - Czy mógłbym wiedzieć, kim jest ten nieoświecony idiota?

- Stary głupiec nazywa się J.C. Barringer.

Cole zastygł na moment z uniesionym krzesłem. Spojrzął na Jen z miną, której zupełnie nie rozumiała.

ROZDZIAŁ CZWARTY

A więc to ja jestem tym starym głupcem, pomyślał smętnie Cole. Idiotą i stetryczalym dziadygą. A jak panna Sancroft nazywała go w myślach, kiedy to nie musiała dbać o maniery...

Wreszcie przypomniał sobie, skąd zna jej nazwisko. W niewielkiej firmie, którą wraz z innymi przejął po ojcu, była jednym z wiceprezesów. Sekretarka wspominała mu, że w sierpniu będzie z nimi rozmawiał w sprawie objęcia stanowiska prezesa. Już wysłała zawiadomienia. W porównaniu z innymi przedsiębiorstwami, którymi zarządzał, była to spółka na tyle mała, że nie poświęcał jej dotąd uwagi. Pamiętał jednak, że była to ulubiona firma ojca.

Wreszcie postawił krzesło.

- Panno Sancroft, proszę usiąść i spokojnie dokończyć obiad.

Zajął swoje miejsce i spojrzał na nią. Stała rozgorączkowana. Zacisnęła usta, najwyraźniej starając się opanować. Widząc, jak łatwo ulega emocjom, Cole bez trudu wyobraził ją sobie w zupełnie innej sytuacji,

z włosami rozrzuconymi na poduszce.. Upił łyk mrożonej herbaty.

- Jaka to firma? - spytał spokojnie, choć dobrze znał odpowiedź.

- Zrzeszenie Księgowych w Dallas.

Odstawił szklanę i spojrzął na Jen. Zaczął rozumieć jej sytuację. ZKD było firmą o znakomitej reputacji i staroświeckim stylu zarządzania. Prezesem zawsze zostawał żonaty mężczyzna w średnim wieku. Jen miała prawo być wściekła i oburzona. Mogła się też obawiać, że jako samotna kobieta jest bez szans na to stanowisko.

Jednak nie mogła wiedzieć, że Albert Barringer nie był ograniczonym, starym durniem. Po prostu w okresie, kiedy wybierano kolejnych prezesów, żonaci panowie byli najlepszymi kandydatami. Ostatni raz zmieniano prezesa przed dwoma laty. Myślał już wtedy o powierzeniu tego stanowiska Jen, ale uznał, że ma jeszcze za mało doświadczenia.

- Zrzeszenie Księgowych w Dallas... - powtórzył Cole beznamiętnym tonem. Teraz, gdy już wiedział, że jest „starym głupcem”, cała ta sprawa stała się jeszcze bardziej intrygująca. Sytuacja dojrzała już do tego, by się przyznał, że nie jest majstrem od napraw wszelakich, najpierw jednak chciał dowiedzieć się więcej. Niezależnie od powodów, jakimi kierowała się Jen, uważał, że nie powinna wykorzystywać do spełnienia swych zawodowych ambicji jakiegoś przypadkowego faceta.

- Nadal twierdzę, że małżeństwo dla awansu jest złym pomysłem.

Odwróciła wzrok. Sięgnęła po sałatkę.

- Ta rozmowa nie ma sensu. Nigdy pan tego nie zrozumie.

- Czyżby? - spytał. - A jeśli powiem, że moja matka związała się z ojcem wyłącznie dlatego, żeby dzięki jego koneksjom zaistnieć w branży?

Spojrzała z niedowierzaniem.

- Trudno byłoby mi w to uwierzyć.

- Nie wzięła z nim ślubu, ale gdy się urodziłem, przehandlowała mnie za zawodowy sukces

- mówił dalej Cole, patrząc jej w oczy. - Ojciec wziął mnie do siebie, wychował i obdarzył miłością, jednak nigdy o niej nie zapomniał.

Jen głęboko się zamyśliła. Odwróciła wzrok i skinęła głową, jakby ogarnęły ją własne, bolesne wspomnienia.

- Współczuję pana ojcu - powiedziała cicho.

- Przez resztę życia cierpiał z powodu kobiety, która myślała tylko o sobie. Proszę mi więc nie mówić, panno Sancroft, że nie rozumiem, bo rozumiem doskonale.

Spojrzała mu w oczy.

- Przykro mi, że pana mama była taką... Znów odwróciła wzrok.

- Wyrachowaną wiedźmą? - dokończył za nią. - Jeszcze coś pani powiem. Jeśli się ożenię, to wyłącznie z miłości.

Zamrugnęła kilkakrotnie, jakby starała się zapanować nad emocjami.

- Wiem, jak ludzie potrafią być okrutni - powiedziała cicho. - Może mi pan wierzyć, że nie chcę nikogo wykorzystać. Moje motywacje są najzupełniej uczciwe.

Spojrzał na nią z mieszanymi uczuciami. Irytowało go, że tak bardzo upierała się przy swoim. Zamierzała usidlić jakiegoś faceta, byle tylko wywalczyć stanowisko.

Jednocześnie, widząc jej nieszczęśliwe spojrzenie, miał ochotę przytulić ją i pocieszyć.

Tego wieczoru Cole, siedząc samotnie w swoim domku, zastanawiał się nad postępowaniem Jennifer Sancroft. Sprawdził na komputerze pocztę elektroniczną i zajrzał do przesłanych mu dokumentów dotyczących trójki wiceprezesów. Przez kilka godzin analizował wyniki ich pracy. Musiał przyznać, że Jen miała najwyższe kwalifikacje.

Dzięki niej firma pozyskała poważnych klientów. Była bardzo zaangażowana, a jej dawni szefowie oceniali ją jako zdolną specjalistkę.

Cole zastanawiał się, co powinien zrobić. Nie cierpiał kobiet gotowych zrobić wszystko dla kariery. Uznał jednak, że nie wolno mu kierować się własnymi uprzedzeniami podczas podejmowania służbowych decyzji. Na dodatek Jen była atrakcyjna. Około północy zorientował się, że tak naprawdę podjął decyzję już wiele godzin wcześniej. Postanowił, że przez jakiś czas pozostanie jeszcze dla niej majstrem, żeby lepiej ją poznać.

Oczywiście zrobi tak z powodów wyłącznie służbowych. Przynajmniej tak to sobie tłumaczył.

- Wyjeżdżasz? Jak to? - Jen była tak zaskoczona, że upuściła na podłogę kawałek tostu. Patrzyła zdumiona na Ruthie, która z walizką w ręku stanęła w wejściu do kuchni.
 - Rano miałam telefon. Zaproponowano mi pracę w zarządzie za dwa razy większą pensję.
 - Wzruszyła ramionami, robiąc skruszoną minę. - Powiedzieli, że mam się stawić natychmiast albo znajdą kogoś innego.
- Jen oparła się o kuchenny blat, czując, że uginają się pod nią nogi.
- Pracujemy razem od pięciu lat. Nie wiedziałam, że jest ci przy mnie aż tak źle.
 - Ależ skąd! - zaprzeczyła Ruthie. - Bardzo lubiłam z tobą pracować.
 - To dlaczego szukałaś innej pracy? Rudowłosa asystentka pokręciła przecząco głową.
 - Nie szukałam i nie wiem, .dlaczego zwrócili się do mnie. Jednak nie mogę zrezygnować z takiej okazji.

Jen nie zaskoczyło, że ktoś chce zabrać Ruthie. Była wspaniałą pracownicą. Zawsze można było na niej polegać. Jen zwierzała się jej ze spraw, o których nie powiedziałyby nikomu innemu. Poczła się tak, jakby opuszczała ją najlepsza przyjaciółka.

- Zwrócili się do ciebie, bo jesteś doskonała - powiedziała z przekonaniem. - Tylko, co ja mam teraz

zrobić? Nie mogę sama rozmawiać z tymi wszystkimi facetami. Szczerze mówiąc, to jest tak, że ja im się oświadczam. A jeśli któremuś odbije i będzie chciał wypróbować towar? Ruthie zrobiła minę pełną współczucia, smutną na tyle, na ile może się zdobyć osoba, której właśnie podwojono zarobki.

- Naprawdę bardzo mi przykro - odpowiedziała. - Wiesz, że Ray miał ostatnio kłopoty w pracy. Potrzebujemy pieniędzy. - Wskazała ręką za okno. - Możesz poprosić tego przystojniaka, żeby nasłuchiwał, czy nie wzywasz pomocy.

Jen przymknęła oczy. Nie mogła uwierzyć, że jej była asystentka zaproponowała takie rozwiązanie.

- Rewelacyjny pomysł - mruknęła.

- Właściwie mogłabyś zastanowić się nad tym facetem - nalegała Ruthie. - Jest wielki, świetnie gotuje i nie ugania się za tobą. Czego więcej ci trzeba?

Jen uniosła brwi. Wolała nie poruszać tego tematu. Westchnęła.

- Jak możesz mnie tak zostawić? Nie jestem w stanie podwoić ci zarobków, ale gdzie się podziała lojalność?

Ruthie wyraźnie się zaczerwieniła.

- W tym rzecz. Ray i dzieci są na pierwszym miejscu. Przede wszystkim muszę być lojalna wobec rodziny.

Dalsze przekonywanie nie miało sensu. Dla Jen rodziną była firma, ale nie mogła wymagać, żeby Ruthie myślała tak samo.

Przed domem rozległ się klakson. Jen domyśliła się, że to taksówka, która zawiezie Ruthie na lotnisko. Naprawdę zaraz wyjedzie! Jen doszła do wniosku, że próbując ją zatrzymać, zachowała się jak egoistka. Zmusiła się do uśmiechu.

- Ruthie, nie zwracaj sobie głowy tym, co powiedziałam. Byłoby głupio nie skorzystać z okazji.

Rudowłosa asystentka odetchnęła głęboko i zamrugała gwałtownie, żeby ukryć łzy. Jen objęła przyjaciółkę.

- Naprawdę cieszę się. Już dawno zasłużyłaś na awans. - Znow zabrał klakson. - Lepiej już idź -dodała cicho.

Spojrzały sobie w oczy.

- Dbaj o siebie - powiedziała Ruthie. - Obiecuj, że porozmawiasz z Cole'em.

Jen skinęła głową. Nie była to pora na dyskusje, a zwrócenie się do Cole'a o pomoc wydawało jej się przerażającym pomysłem. Ruthie zniknęła za drzwiami.

Jen stała nieruchomo w kompletnej ciszy. Do wnętrza nie docierał szum fal ani krzyki mew. Spojrzała na zegarek. Siódma trzydzieści. Za pół godziny miała pierwsze spotkanie. Jeszcze przez pięć minut wahała się przed podjęciem decyzji. Musiała porozmawiać z Cole'em. Pomyślała, że w dzisiejszych czasach samotna osoba nie powinna ryzykować, zapraszając zupełnie obcych ludzi pod swój dach. Nie miała wyboru. Mogła się zwrócić tylko do niego. I tak już wiedział o wszystkim. Dał też wyraźnie do zrozumienia, że brak jej kobiecego

wdzięku. Mówiąc wprost, absolutnie nie był nią zainteresowany.

Od początku niepokoiło ją, że jest w pobliżu. Jego ciągła obecność nie dawała jej spokoju. Dawniej podobnie się czuła w towarzystwie Tony'ego. Powiedziała sobie jednak, że w żadnym wypadku nie powinna traktować Cole'a poważnie. Może był dobrym fachowcem i świetnym kucharzem, ale ona szukała męża z odpowiedniego środowiska i na wysokim poziomie. Teraz znalazła się w niezręcznej sytuacji. W towarzystwie jakiegoś przystojniaka będzie „polowała” na życiowego partnera.

Spojrzała na zegarek. Do przyjścia pierwszego kandydata zostało dwadzieścia minut. Nie mogła dłużej zwlekać z rozmową. Przeszła przez werandę i zapukała. Jasnoniebieskie drzwi natychmiast się otworzyły. Ukazał się w nich Cole w świeżo upranych dżinsach i jak zwykle bez koszuli. Włosy miał w kompletnym nieładzie. Myślała, że będzie zdziwiony jej wizytą, ale nic

o tym nie świadczyło. Stał z nieprzeniknioną miną i tostem w dłoni. Poczowała zapach smażonego bekonu, jaj

i świeżo parzonej kawy. Przypomniała sobie, że nic nie jadła. Jej tost leżał na podłodze w kuchni. Chwila ciszy zaczęła się nieprzyjemnie przedłużać.

- Czy pani roznosi ulotki? - spytał wreszcie. Zagryzła wargę, starając się zachować spokój. Ranek

źle się zaczął i nie była w nastroju do żartów.

- Ruthie wyjechała. Dostała propozycję lepszej pracy. Nie mogła odmówić. - Ponieważ milczał, mówiła

dalej: - Jest taka sprawa. Będę sama z obcymi mężczyznami i mogę... może się zdarzyć, że będę miała kłopoty. - Starła się dobrać odpowiednie słowa. - Wiem, że według pana jestem nieatrakcyjna, ale może trafić się ktoś, kto ma inne zdanie. Wie pan...

Spoglądał na nią wyczekująco, jakby nie rozumiał, o co chodzi.

- Bez Ruthie będę...

- Jasne, panno Sancroft - przerwał. - Mam się kręcić w pobliżu i wkroczyć, gdyby ktoś panią zaatakował. - Odgryzł kawałek tostu. - Może kawy? - spytał beznamiętnie.

Cofnęła się o krok i pokręciła przecząco głową.

- Niestety, pierwszy kandydat zjawi się niebawem. Cole najwyraźniej nie zamierzał powiedzieć nic więcej.

- Więc jak? - nie wytrzymała. - Będzie pan w pobliżu, czy nie?

- Myślałem, że nowoczesna, wyzwolona kobieta nie potrzebuje męskiego wsparcia.

Odmówił jej! Cóż, mogła tego się spodziewać. Poczowała złość.

- Tak przeczuwałam. Nie powinnam prosić pana o pomoc. Po prostu nie mam nic do obrony, nawet gazu łzawiącego.

Skrzyżował ręce na piersi. Była zła na siebie, że przez chwilę na serio rozważała jego kandydaturę. Przecież to zwykły prymityw.

- Jeśli chce pan wiedzieć, myślę, że jest pan złośliwym i nieczułym prostakiem. Jeżeli się spodziewała, że te słowa zrobią na nim wrażenie, to srodze się zawiodła. Nawet nie zmienił wyrazu twarzy. Bliska łez odwróciła się, żeby odejść, lecz zdążył chwycić ją za rękę.
- Panno Sancroft, nie mam doświadczenia jako ochroniarz. Jednak myślę, że w tym przypadku dam sobie radę.
- A więc zgodził się... ale tylko dlatego, że nie spodziewał się żadnych kłopotów. Uważał ją za kompletnie nieatrakcyjną i był pewien, że żadnemu z jej gości nie przyjdzie do głowy nic zdrożnego.
- Nie mogła przyjąć takiej pomocy. To zbyt poniżające. Będzie wystarczająco bezpieczna, jeśli zamiast gazu ukryje za poduszkami sofy aerozol przeciw insektom. Uwolniła rękę.
- Wolałabym przejść po rozżarzonych węglach, niż skorzystać z pana pomocy - warknęła.
- Dobrze, już dobrze - powiedział rozbawionym tonem. - Przekonała mnie pani.
- Słucham? - spytała z niedowierzaniem.
- Byłem trochę zły, bo mam w tym domu dużo roboty, a pani mi przeszkadza. Proszę wybaczyć.
- W pierwszej chwili miała ochotę zaproponować mu, żeby poszedł utopić się w oceanie, ale poczucie bezpieczeństwa było ważniejsze.
- Jasne, nie ma sprawy - powiedziała cicho.

Dzień ciągnął się w nieskończoność. Cole zachowywał się dokładnie tak, jak obiecał. Zaledwie zaczęło się pierwsze spotkanie, pojawił się natychmiast w całej półnagiej i umięśnionej okazałości, wymachując pistoletem do wstrzeliwania gwoździ. Oświadczył, że będzie tu przez cały dzień. Następnie rzucił gościowi spojrzenie, które mówiło:

„Przybiję ci zadek do podłogi, jeśli zaczepisz tę panią”.

Spojrzała mu w oczy i z przykrością zauważyła w jego spojrzeniu dezaprobatę. Tego dnia powtarzał występ przed każdym kolejnym rozmówcą, następnie naprawiał coś w budynku i hałasował do woli. Była mu wdzięczna za udawanie krwiożerczej bestii, jednak z drugiej strony działało to na nią wielce deprymująco. Otóż w porównaniu z nim kandydaci na męża wypadali bardzo blado, ot, takie wymoczki. Musiała sobie powtarzać, że Cole nie byłby w stanie pomóc jej w karierze, choćby nawet najlepiej gotował, świetnie dbał o dom i cudownie wychowywał cały tabun dzieci. Myśląc o dzieciach, przestała słuchać swego rozmówcy. Przetarła oczy.

- Nie, Jennifer. To zupełnie bez sensu - wyrwało jej się nieoczekiwanie.

- Słucham? - spytał niski, przysadzisty mężczyzna. Był cały w brązach, buty, garnitur, nawet krawat i fryzura. - Rzeczywiście, rozmowa z panią nie ma sensu - stwierdził i wstał.

- Bardzo przepraszam, panie... Powell - powiedziała, zerkając do notatek. - Mówiłam do siebie i...

Odpowiedziało jej głośne trzaśnięcie drzwi.

- Miło było pana poznać - dodała cicho. Rozległy się kroki. Zbliżał się Cole. Zaciśnęła powieki i policzyła do dziesięciu, żeby odzyskać spokój.

- Tym razem nie trwało długo - zauważył. Szybko odwróciła się w jego kierunku, żeby nie pomyślał, że czuje się pokonana.

- Tylko żadnych uwag - uprzedziła. Patrząc na niego, nie mogła oprzeć się wrażeniu, że przypomina rzeźbę greckiego herosa.

Odwróciła wzrok i zerknęła na zegarek.

- Dochodzi piąta. To był ostatni kandydat na dzisiaj, więc ma pan już wolne - powiedziała tonem godnym pani prezes.

Wydając polecenie, chciała przypomnieć Cole'owi, kto tu rządzi, ten jednak uśmiechnął się pod nosem.

- Dobrze, proszę pani. - Z szacunkiem skłonił głowę. - Tylko, oczywiście, jeśli można, zbiorę narzędzia.

- Proszę bardzo - zezwoliła łaskawie, ignorując ironię pobrzmiewającą w słowach majstra. Poszedł do kuchni. Jen oparła się o ścianę. Po raz kolejny czuła się wykończona. Zaczynała tracić nadzieję, że znajdzie odpowiedniego kandydata na męża. Po chwili usłyszała trzask tylnych drzwi. Cole wreszcie poszedł. Z ulgą przymknęła oczy. Po chwili otworzyła je szeroko. Zdała sobie sprawę, że jutro znów go tu zastanie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Jen przygotowała sobie kanapkę z masłem orzechowym i dżemem truskawkowym. Nie miała ochoty siedzieć w domu, więc zabrała ją ze sobą na plażę. Spacerowała bosą, starając się nie myśleć, gdzie może teraz być Cole. Nie zauważyła go po drodze. Dobrze. Przynajmniej nie będzie musiała wysłuchiwać jego złośliwości.

Szła wzdłuż plaży, gryząc gumowatą, słodką kanapkę. Niedaleko na brzegu zauważyła kaczkę z przekrzywionym łebkiem, która zaczęła głośno kwakać na jej widok. Coś z nią było nie w porządku. Jen przyjrzała się dokładniej.

- Ojej, jak ci pomóc? Biedactwo...

Kaczka miała wbity w dziób wędkarski haczyk. Jen zupełnie nie wiedziała, co robić. W jej domu nigdy nie było żadnych zwierząt i nie miała pojęcia, jak z nimi postępować.

Pokruszyła kawałek kanapki i rzuciła ptakowi.

- Masz, kochanie. Nie bój się.

Dzika kaczka bezskutecznie usiłowała wziąć do dzio-

ba smaczny kęs. Jen przeraziła się. Biedactwo zdechnie z głodu! Kaczka spróbowała sięgnąć po kolejny, mniejszy kawałek. Jen, mimo głośnych protestów ptaka i machania skrzydłami, pochyliła się i schwyciła go stanowczo.

- Nic ci nie zrobię - mówiła łagodnie. - Muszę tylko cię przytrzymać, żeby wyjąć ten okropny haczyk.

Przycisnęła nieszczęsnego ptaka do siebie, by wyciągnąć haczyk, niestety, obie ręce miała zajęte.

- Co pani robi?

Po raz pierwszy Jen podskoczyła z radości, słysząc głos Cole'a. Odwróciła się natychmiast.

- Dobrze, że pan przyszedł. Ta biedaczka ma haczyk w dziobie, a brakuje mi rąk, żeby jednocześnie ją trzymać i wyjąć to paskudztwo.

Cole stał w milczeniu. Ogarnął spojrzeniem całą sytuację: przerażony, niewielki ptak próbuje się wyrwać, kwacząc i machając skrzydłami. Trzyma go nieudolna bohaterka, najwyraźniej równie niedoświadczona w kontaktach ze zwierzętami jak z mężczyznami.

Po chwili sięgnął do pasa z narzędziami, wyciągnął niewielkie kombinerki i podszedł bliżej.

- Co pan ma zamiar zrobić? - spytała niepewnie.

- Proszę ją trzymać. Przetnę haczyk.

- Dobrze - zgodziła się, zagryzając wargę. Mocniej chwyciła kaczkę. Miała nadzieję, że nie zrobi jej większej krzywdy. Cole odciął zaostzony koniec i wyciągnął haczyk.

- Gotowe. Kaczka jak nowa - oświadczył.

Jen stała bez ruchu, kurczowo ściskając opierzoną pacjentkę. Cole uśmiechnął się złośliwie.

- Można ją wypuścić. Operacja zakończona - stwierdził.

- Jasne.

Postawiła ostrożnie kaczkę na piasku. Ptak natychmiast rzucił się na kawałki kanapki.

- Biedactwo. Musiała być głodna.

- Na pewno chce pić. Przyniosę jej świeżej wody - powiedział Cole.

- Słusznie. Nie pomyślałam o wodzie - przyznała Jen, spoglądając na niego.

Odpowiedział długim spojrzeniem.

- Nigdy nie hodowała pani żadnego zwierzaka, prawda?

Pokręciła przecząco głową.

- Nie, nigdy.

- Tym bardziej był to miły gest.

Nim dotarło do niej, że zdobył się na komplement, Cole przeskoczył niski płotek i pobiegł w kierunku swojego domku. Po chwili wrócił z miską. Przy okazji zdążył się pozbyć pasa z narzędziami.

Jen podeszła, wyciągając rękę.

- Zajmę się miską - powiedziała.

- Dziękuję. Proszę ją postawić gdzieś tutaj. Znajdzie ją sama.

Gdy znów przeskoczył przez ogrodzenie, Jen spo-

jrzała na niego z przejęciem. Uznała, że zrobiła coś naprawdę dobrego. Była z siebie tak dumna, że pozwoliła sobie na szeroki uśmiech.

- Miał pan zwierzęta? - spytała.

- Najróżniejsze. Psy, ptaki, koty. Kiedyś nawet węża. --Ja nie mogłam niczego hodować, bo matka ma

alergie na futro i pióra - wyjaśniła i pokręciła głową. - Ale o wężu jakoś nigdy nie pomyślałam.

Na chwilę przestał jej się przyglądać, bo kątem oka zauważył, że kaczka odważnie pomaszerowała do miski i zaczęła pić. Uśmiechnął się z zadowoleniem, że rekonwalescencja trwała tak krótko.

- Nie bałaby się pani węża w mieszkaniu? Wzruszyła ramionami.

- Nie sądzę.

- Zaskakuje mnie pani - przyznał i wskazał ręką wzdłuż plaży. - Wybierałem się na spacer. Przejdzie się pani ze mną?.

Zdziwiło ją to zaproszenie. Nie wiedziała, co myśleć. Może lubił ludzi, którzy troszczą się o zwierzęta? Miała wielką ochotę dotrzymać mu towarzystwa, jednak nie była przekonana, czy to rozsądne. Mimo woli nabrała do Cole'a sympatii. Czowała, że nie jest kłamcą i oszustem jak Tony. Jednak nawet jeśli był miłym człowiekiem, nie nadawał się na życiowego partnera pani prezes Zrzeszenia Księgowych w Dallas. -

Z wahaniem pokręciła głową.

- Niestety, mam... jeszcze coś do zrobienia. Ale dziękuję.

Zacisnął usta.

- W porządku.

Skinął głową, odwrócił się i odszedł wzdłuż plaży. Kilka sekund później Jen minęła kaczka, kołysząc się na boki. Jen ze zdziwieniem stwierdziła, że ptak podąża za Cole'em. Spojrzała w jego kierunku. Przypomniała sobie, że nie podziękowała mu za to, co dziś dla niej zrobił. Oboje wiedzieli, że powinna mu być wdzięczna. Postanowiła jakoś to okazać. Ruszyła za nim. Najpierw dogoniła kaczkę i zerknęła na nią z góry.

- Dałaś się uwieść, jego muskulaturze i błękitowi oczu? - zwróciła się do ptaka z wyrzutem w głosie.

- Słucham? - spytał Cole, zatrzymując się. Wyprzedzał Jen zaledwie o kilka metrów. Miała nadzieję, że nie usłyszał jej słów.

- Ja... mówiłam do kaczki, że obie powinnyśmy być wdzięczne - skłamała. Dogoniła go i dotknęła jego ręki. - Dziękuję za pomoc podczas tych rozmów - powiedziała i zdobyła się na miły uśmiech, - Może zjemy razem obiad? - zaproponowała i zdziwiła ją własna propozycja. Musiało stać się to nieświadomie, niezależnie od jej woli. Przedtem myślała o tym, że mogłaby płacić mu niewielkie wynagrodzenie za ochronę. Powiedzmy pięćdziesiąt dolarów dziennie. Nie rozumiała, jak to się stało, że zaproponowała mu obiad. Przypo-

niała sobie dzisiejszą kanapkę. Przecież nie miała czym go poczęstować!

Poczuła się niezręcznie, trzymając go za rękę, więc natychmiast ją puściła. Spojrzał jej w oczy z niedowierzaniem.

- Chce pani poczęstować mnie obiadem? - upewnił się. - Myślałem, że nie zajmuje się pani gotowaniem.

- Przyznaję, nie jestem wybitną kucharką. Po prostu chciałabym jakoś się odwdzięczyć, tym bardziej że liczę na dalszą pomoc.

- Na pewno ma pani dobre chęci - powiedział. - Ale już jestem umówiony.

Przeczuwała, że odmówi, ale nie sądziła, że poczuje się tak bardzo zawiedziona. Cóż, była głupia. Taki wspaniały facet na pewno ma jakąś dziewczynę, a może nawet kilka. Wolno mu. Nie wszyscy żyją samotnie...

- Trudno. W takim razie może innego dnia?

- Panno Sancroft, to naprawdę nie jest konieczne.

Zirytowała ją ta odpowiedź. Przez cały tydzień spotykały ją niepowodzenia i nie miała zamiaru pogodzić się z kolejnym.

- Panie Noone, jestem przekonana, że to jest konieczne. Proponuję jutro wieczorem.

Patrzył na nią przez chwilę, nim wreszcie szeroko się uśmiechnął.

- Cóż, jeśli tak, to chętnie - zgodził się i skinął głową.

Jen spojrzała na fale, żeby uniknąć patrzenia mu w oczy. Nadal ją peszył.

- Świetnie.

- W takim razie do zobaczenia - powiedział, odchodząc w stronę domu. Kaczka z głośnym kwakaniem ruszyła za swoim bohaterem.

Jen patrzyła na fale, nie wierząc w to, co się stało. Zaprosiła Cole'a. Co ją napadło? Czy stało się tak dlatego, że czuła się sfrustrowana nieudanymi rozmowami z kandydatami na męża? A może zareagowała na komplement, którym obdarzył ją Cole? Przecież powtarzała sobie wielokrotnie, żeby nie przebywać w jego towarzystwie dłużej niż to absolutnie konieczne!

Spojrzała w jego stronę. Właśnie przeszedł przez furtkę i przytrzymał ją, żeby wpuścić kaczkę. Co za uprzejmość! - pomyślała. Odwróciła się i poszła skrajem plaży, rozchlapując fale bosymi stopami. Chciała wszystko spokojnie przemyśleć. Jutro piątek, ostatni dzień rozmów w tym tygodniu. Miała nadzieję, że wreszcie znajdzie jakiegoś sensownego kandydata.

Dotychczas jedynym interesującym mężczyzną w okolicy okazał się Cole. Mimo złośliwości i niezbyt subtelnego pouczenia, czego mężczyźni szukają w kobiecie, wyraźnie starał się jej pomagać. Potrafił też być delikatny, co na biednej kaczkę zrobiło wielkie wrażenie. Jen zazdrościła mu, że jest radosny, wyluzowany i zadowolony z życia. Ona wciąż siebie kontrolowała, starając się w każdej sytuacji wypaść jak najlepiej, co na dłuższą

metę było niezmiernie męczące. Wiecznie w pogotowiu, wiecznie w napięciu...

Ale cóż, szukała wykształconego męża, który należał do odpowiedniej sfery, dobrze czuł się w świecie biznesu i wiedział, czym jest zawodowa kariera. W tej sytuacji interesowanie się Cole'em nie miało sensu. Przypomniała sobie, że był dzisiaj z kimś umówiony.

Ciekawe, czy wróci na noc? - pomyślała... i natychmiast się skarciła. Co ją obchodzi prywatne życie majstra Noone'a? Zaprosiła go na obiad, bo tak należało postąpić, i to wszystko.

Właśnie, obiad. I to już jutro. Poczowała lekką panikę. Przygotuje coś prostego, a jeśli szczęście jej dopisze, okaże się to jadalne.

Następnego dnia, punktualnie o ósmej rano, Cole zjawił się jak zwykle bez koszuli i ze śmiercionośnym pistoletem do gwoździ w ręku. Około południa natknęła się na niego w kuchni. Wpadła na kawę między rozmowami. Spytał, czy jest głodna. Skinęła głową. Bez słowa oddał jej połowę swojej kanapki z tuńczykiem i poszedł na górę z narzędziami w ręku.

Świetnie, pomyślała. Teraz jeszcze powinnam mu być wdzięczna za lunch. Miała nadzieję, że obiad wyrówna rachunki. Poprzedniego wieczoru pojechała do sklepu w Corpus Christi, dzięki czemu miała wszystkie składniki, żeby przygotować jedną z trzech potraw, które zazwyczaj, choć nie zawsze, jej się udawały. Zdecy-

dowała się na wieprzowinę z warzywami i pieczone ziemniaki. Przygotowanie było proste. Największą trudność sprawiało Jen pocięcie na równe kawałki cukinii, marchewek i pora. Teraz mięso już było w piekarniku. Smakowity zapach zaczął rozchodzić się po domu. Jen zauważyła, że rozmówcy stali się nagle niezwykle życzliwi, co do tej pory się nie zdarzało. Widocznie wyobrażali ją sobie w roli słodkiej żoneczki, która błyskawicznie przygotowuje obiadek na powitanie pana domu. Cóż, nie miała takich planów na przyszłość, tylko zupełnie inne. Jedyne wymaganie, jakie chętnie postawiłaby przyszłemu mężowi, to kulinarna biegłość.

Przypomniała sobie, że Cole oczywiście to potrafił.

- Nie, Jen - mruknęła, zatrzasnąjąc piekarnik. - Nawet o tym nie myśl.

Nie o takiego męża jej chodziło. Na dodatek uważał, że jest seksowna jak śnięta ryba. Nie pytała go o wykształcenie, ale przecież żył z fizycznej pracy, nie mógł więc poświęcić wiele czasu na edukację. Chciała kogoś z większymi ambicjami, z kogo mogłaby być dumna. Cole nawet nie nosił koszuli. Czy można kogoś takiego zabrać na oficjalną kolację? Jak miałby rozmawiać z ludźmi, którzy trzęsą światem wielkich finansów? Nie mogła sobie tego wyobrazić.

- Przestań wreszcie o nim myśleć! - krzyknęła ze złością.

W czasie obiadu Jen czuła się niezręcznie, natomiast Cole jak zwykle był w dobrym nastroju. Wykazał się nawet uprzejmością, pochwalił bowiem jedzenie. Za późno zorientowała się, że zapomniała o napojach. Cole odszedł na chwilę od stołu i przyniósł ze swojego domku najlepszą mrożoną herbatę, jaką zdarzyło się jej pić. Jednak wkrótce zaległa nieprzyjemna cisza.

- Właściwie... dlaczego nie próbował pan osiągnąć w życiu czegoś więcej? - spytała i zamarła. Chyba trochę przesadziła...

- Czy to oficjalna rozmowa z kandydatem, panno Sancroft? - spytał z rozbawieniem. Przybrała niewinną minę i pokręciła głową.

- Ależ nie. Po prostu próbuję... zacząć miłą rozmowę przy obiedzie.

Spojrzał na nią.

- Chyba jednak nie. Co innego, gdyby spytała pani, jak minął mi dzień, albo czy pływałem już dzisiaj. Natomiast moje życiowe ambicje to zbyt poważna sprawa jak na taką niezobowiązującą pogawędkę.

- Jeśli tak pan uważa... - zaczęła i szybko zmieniła temat. - Rozmowy dają coraz lepsze wyniki - skłamała. W rzeczywistości dwaj dzisiejsi kandydaci wyrazili coś w rodzaju skromnego zainteresowania jej propozycją. - Jestem przekonana, że sprawa zakończy się sukcesem.

- Naprawdę? - Spojrzał na nią badawczo. Skinęła głową, starając się nie patrzeć mu w oczy.

Chwilami jego wzrok działał na nią obezwładniająco, a przecież przyrzekła sobie, że nie podda się jego urokowi i czarowi.

Dotarło do niej, że zaczął coś mówić.

- Słucham?

Musiała zamyślić się na dłużej, bo Cole zdążył opróżnić talerz.

- Pytałem, czy pójdziemy popływać. Zdziwiona, uniosła brwi.

- My?

- Tak. To właśnie chciałem zaproponować... w ramach niezobowiązującej pogawędki.

- Ale dopiero skończyliśmy jeść - niepewnie próbowała się opierać.

Uśmiechnął się.

- Nie chodzi mi o wyczyny sportowe, ale żeby popluskać się w wodzie.

Spojrzała zaskoczona. Propozycja zabrzmiała trochę dwuznacznie.

- Przestraszona?

Cóż, mógłby czytać w myślach. Pływanie z Cole'em Noone'em przy świetle księżycy wydawało jej się zbyt romantyczne.

Uniół pytająco brwi.

- Panno Sancroft, do kogo można mieć większe zaufanie niż do własnego ochroniarza?

- Nie boję się - powiedziała zdecydowanie. - Po prostu... nie wzięłam kostiumu.

- Jechała pani nad morze, nie zamierzając się kąpać? Miała ochotę skłamać, że chciała pływać nago, ale

Cole mógłby podchwycić ten pomysł.

- Wie pan, po co przyjechałam.

- Racja. - Wstał. - Zdaje się, że w szafie na górze są jakieś kostiumy kąpielowe dla zapominalskich. Zauważyłem je, gdy naprawiałem półkę. Na pewno znajdzie pani coś dla siebie.

Patrzył na nią jakoś dziwnie. Uznała, że kryje się za tym kolejna złośliwość.

- Świetnie. Zajrzę do tego schowka dla sklerotyków. Wykrzywił usta w uśmiechu. Był rozbawiony sytuacją, ale Jen nie zamierzała się przejmować.

Sięgnął po swój talerz.

- Proszę to zostawić - powiedziała szybko. - Ja posprzątam. Może pan już iść się pluskać.

- Hm, tak naprawdę to chciałem wziąć dokładkę, jeśli pani pozwoli.

- Słucham?

- Pieczeń jest doskonała, więc jeśli nie ma pani nic przeciwko temu...

- Proszę bardzo, oczywiście. Poszedł do kuchni.

Chce dokładkę, a pieczeń jest doskonała! - pomyślała i zdumiona zastygła w bezruchu. Po chwili usłyszała z kuchni dźwięki muzyki. Jakaś operowa pieśń w obcym języku. Potem pojawił się Cole z solidną porcją na talerzu.

- Mam nadzieję, że ta muzyka nie będzie przeszkadzać - powiedział. - Bardzo lubię francuskie arie.
 - Aha - powiedziała, unosząc brwi. - To z kompaktu, tak?
 - Tak. Przywiozłem kilka. Chciałem posłuchać przy pracy, ale pani się zjawiała, zaczęły się rozmowy... -Przerwał i wzruszył ramionami.
 - To interesujące - stwierdziła bez przekonania.
 - Rozumiem, że nie przepada pani za taką muzyką?
 - Niewiele wiem o muzyce klasycznej. - Przez chwilę próbowała się skupić na arii. - Skąd się wzięło to zainteresowanie? - spytała.
 - To znaczy, jak doszło do tego, że prosty rzemieślnik jest miłośnikiem opery? - upewnił się.
 - Zdaje się, że uważa mnie pan za snobkę. Tylko się uśmiechnął.
 - Może mnie pan traktować jak snobkę, ale to nie prawda. Po prostu inaczej patrzymy na świat.
 - Zgadzam się z panią całkowicie.
- Popijając mrożoną herbatę, zerknęła na niego nieufnie. Miał w sobie wiele męskiego wdzięku. Ciemne włosy lekko rozwiewała morską bryza, niebieskie oczy patrzyły przenikliwie. Wieczorem włożył jasne spodnie i miękkie, skórzane pantofle. Nieskazitelnie biała koszulka polo podkreślała muskularne ramiona. Odwróciła wzrok. Pomyślała, że jednak czasami chadzał w koszuli, no i znał się na operze. Jednak to za mało, żeby

traktować go jako przyszłego partnera. Powtarzała sobie, że to zwykła logika, nie żaden snobizm.

- Dziękuję, było wspaniale - powiedział. - Teraz pójdę się przebrać.

Jen odstawiła szklankę.

- Racja, mamy pływać. Chociaż może jednak...

- Chyba nie chce się pani wycofać? - zapytał, pochylając się nad nią.

- Nie, ale...

- Świetnie. Za pół godziny spotkamy się na plaży. - Zniknął za drzwiami.

- Chyba zwariowałam, że się zgodziłam - szepnęła do siebie.

Piętnaście minut później Jen spoglądała na siebie w lustrze nad wanną. Wybrała dwuczęściowy kostium w ostrym odcieniu różu.

Cóż, Jen, pomyślała, jeszcze nigdy nie paradowałaś tak roznegliżowana. Ostatnio zdarzyło jej się to podczas badań lekarskich, ale przecież Cole Noone nie był jej lekarzem. Jednak wielokrotnie powtarzanymi złośliwościami pobudził jej kobiecą ambicję. Nie uważała się za paskudę, a swojego ciała naprawdę nie musiała się wstydzić.

Oczywiście powinna była włożyć czarny, jednoczęściowy kostium, ale przeważyła urażona duma.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Jen zarzuciła ręcznik na ramiona i wyszła przez tylne drzwi. Miała do siebie pretensję za bikini. Nie powinna pokazywać się w takim negliżu. To wszystko przez Cole'a. Ten majster uważał ją za pozbawioną seksu, nadętą dziewicę. Miała już dość jego aroganckich, lekceważących spojrzeń. Cóż, może nie łamała męskich serc, ale była kobietą i naprawdę chciała znaleźć odpowiedniego partnera, z którym mogłaby założyć rodzinę, dbać o niego i mieć z nim dzieci.

Nie mogła zmienić opinii Cole'a o łowach na męża, natomiast mogła zburzyć jego przekonanie o jej zupełnym braku seksapilu. Oczywiście pamiętała, że po rozstaniu z Tonym obiecała sobie, iż nie będzie się stroić, by wabić mężczyzn, bo przyciągało to tylko najbardziej powierzchownych. Nie miała też zamiaru omotać Cole'a. Chciała go tylko przekonać, że jest stuprocentową kobietą. Nie mogła mu zaimponować intelektem, bo nie byłby w stanie tego docenić, podrażni więc jego męskie pragnienia... i odejdzie zwycięsko.

Wzięła głęboki oddech i zsunęła ręcznik z ramion.

- Dobrze, Cole - szepnęła do siebie, otwierając drzwi. - Chodźmy się pluskać!

Cole stał w płytkiej wodzie, patrząc na bezchmurne, rozgwieżdżone niebo. Był bardzo z siebie niezadowolony. Zastanawiał się, co mu przyszło do głowy, żeby zaprosić pannę Ważniacką na wspólną kąpiel. Poprzedniego wieczoru spotkał się z pierwszym z kandydatów na stanowisko prezesa ZKD i jego żoną. Teraz doszedł do wniosku, że to nie miało sensu. Powinien raczej umówić się na randkę, zabrać jakąś panienkę do swojego samolotu i polecieć w bardziej romantyczne okolice niż Dallas. Po prostu potrzebował kobiety, a nie taplania się w wodzie z panną Ważniacką.

- Pewnie i tak nie przyjdzie - mruknął do siebie półgłosem.

Drzwi zamknęły się z hałasem. Tym razem pomylił się, bo jednak nie stchórzyła. Była już noc, ale w świetle księżycy wyraźnie widział zarysy postaci. Jeśli w ogóle miała coś na sobie, musiał to być wyjątkowo skąpy strój. Z tej odległości nie potrafił dostrzec szczegółów, lecz zgrabnej sylwetce nie brakowało żadnych kobiecych atrybutów.

- Do diabła! - mruknął pod nosem zupełnie zaskoczony. Pomyślał, że gdyby tak wyglądała w czasie rozmów, zgraja dyszących i śliniących się kandydatów ustawiłaby się w długiej kolejce pod jej drzwiami.

Jen podeszła bliżej, lekko kołysząc biodrami. Miała na sobie bardzo skąpe bikini. Zupełnie nie spodziewał się po niej takiej odwagi. Była szczupła, długonoga i o wiele bardziej atrakcyjna, niż dotychczas sobie wyobrażał. Spoglądał na nią z podziwem i narastającym pożądaniem, choć nie zamierzał się do tego przyznać. Gdyby wiedziała, co mu zaczęło chodzić po głowie, uciekłaby z krzykiem.

- Widzę zasadniczą zmianę stroju - zauważył.

- Na plaży nie muszę wyglądać jak księgowa na kierowniczym stanowisku. Co teraz?

Podobno mieliśmy pływać.

Spojrzał na nią z przekonaniem, że jeszcze chwila,

i nie będzie w stanie się opanować. Szalony seks na pustej plaży, to jedyne, o czym był w stanie myśleć.

- Panno Sancroft, zmieniłem zdanie - mruknął niezbyt uprzejmie. - Jednak popływam sam. Wbiegł do wody i zanurkował. Popłynął najszybciej, jak potrafił.

Jen potrzebowała dłuższej chwili, by pogodzić się z faktem, że Cole porzucił ją na plaży.

Nie pomogło nawet różowe bikini. Była załamana. Jak mogła myśleć o znalezieniu sympatycznego męża, jeśli skoro byle majster uważał ją za zupełnie nieatrakcyjną? Co z nią jest nie tak? Jak miała znaleźć partnera, którego z czasem nauczy się kochać, jeśli faceci traktują ją niczym...

Zamknęła oczy. Czowała się zbyt przybita, by płakać.

Nie mogła zrozumieć, jak to. się stało, że przejmowała się opinią tego robotnika. Przecież nie był nikim ważnym, nie miał życiowych ambicji ani stanowiska. Cała sytuacja zaczęła doprowadzać ją do furii.

Uznała, że najwyższy czas wracać. Wstała, odwróciła się w stronę domu i wpadła na solidnie zbudowanego mężczyznę.

- Och! - krzyknęła, odskakując do tyłu. Potknęła się, ale przytrzymał ją za ramiona, nim zdążyła się przewrócić. Instynktownie próbowała się wyrwać, żeby natychmiast rzucić się do ucieczki.

Otworzyła usta do krzyku i wtedy rozpoznała, z kim ma do czynienia.

- To pan?! Skąd się pan tu... - Potrząsnęła głową. Nie mogła pojąć, że Cole już nie pływa, lecz stoi przed nią, a jego mokre ciało błyszczy w świetle księżyca. Natychmiast przeszła do ofensywy. - Co pan tu właściwie robi? - spytała ostro.

- Czekam, aż ktoś na mnie wpadnie.

- Miał pan pływać.

- Już skończyłem - powiedział, patrząc jej w oczy. Zbliżył się o pół kroku. Jej serce wyraźnie przyspieszyło rytm.

- Czyżby woda nie by... - zaczęła i w tym momencie poczuła na ustach dotyk jego warg. Gdy minęło pierwsze zaskoczenie, nie pozostała mu dłużna. Objęła go za szyję, czując pod palcami wilgotną skórę. Przywarła do niego całym ciałem. Rozchyliła

usta, czując narastające podniecenie. Po chwili Cole szepnął coś, czego nie zrozumiała.

- Słucham? - spytała niezbyt przytomnie. Odsunął się od niej, nadal trzymając ją za ramiona.

- Mówiłem, że przed powtórnią rozmową z najlepszymi kandydatami powinnaś poćwiczyć całowanie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Cole siedział w swoim domku przy kuchennym stole. Gapił się na kubek z kawą i myślał o incydencie na plaży. Co go podkusiło, żeby wrócić na plażę i całować się z Jen? Uderzył kubkiem o blat. Niewiele spał tej nocy. Zastanawiał się nad swoim zachowaniem.

Wyrzucał sobie bezsensowne uwagi na temat jej rzekomo nieudolnych pocałunków. W rzeczywistości całowała tak doskonale, że mogłaby prowadzić wykłady na ten temat. Miał wyrzuty sumienia. Dlaczego wymyślił to kłamstwo? Cóż, ta kobieta interesowała go coraz bardziej. Może w ten sposób próbował zdenerwować ją i zachować większy dystans? Żeby przestać o niej myśleć, włączył laptop i zajął się pisaniem charakterystyki trojga kandydatów na stanowisko prezesa ZKD. Najpierw skończył uwagi na temat Melvina Sealsa, z którym w czwartek jadł obiad. Porządny człowiek, spokojny, inteligentny, bez poczucia humoru. Zaczął pisać uwagi na temat Jennifer Sancroft. Bardzo metodyczna, w działaniu nie kieruje się emocjami i intuicją, lecz zimną kalkulacją.

Sądząc po pocałunku, nie wydaje się zimna, pomyślał.

Upił łyk zimnej kawy i skrzywił się z niesmakiem. Dopisał, że Jen jest nastawiona wyłącznie na robienie kariery i zaczął się zastanawiać, czy to prawda. Czy tego samego nie mógłby napisać o MeMnie? Gdy jego żona zajmowała się dziećmi, spędzał w biurze do sześćdziesięciu godzin tygodniowo, a oprócz tego wyjeżdżał na spotkania i seminaria. Usunął ostatnią uwagę i napisał: „kocha zwierzęta”. Przypomniał mu się moment, gdy przerażona nie mniej niż kaczka, starała się jej pomóc za wszelką cenę. Jest odważna, pomyślał. To cecha dobrego szefa. Potem dodał jeszcze: „robi świetną pieczeń, ma miły uśmiech”. Na koniec stwierdził, że notatki są zupełnie nieprofesjonalne i szybko je skasował. Nadal uważał, że Jen jest wyrachowana. Gdyby wiedziała, że jest jej szefem, pewnie siedziałaby już na jego kolanach. Znał takie kobiety.

- Nic z tego! - mruknął.

Nagle rozległo się natarczywe pukanie do drzwi. Spojrzał na zegarek. Ósma. Nie spodziewał się nikogo tak wcześnie w sobotni poranek.

- Kto tam?

- To ja! - odpowiedział znajomy głos. Zaskoczony uniósł brwi. Spojrzał na drzwi, jakby nagle stały się radioaktywne. Zamknął laptop i przykrył go gazetą, a potem podszedł do drzwi i otworzył je szeroko.

Jen stała zaaferowana, jedną ręką czesała włosy, drugą dopinała bluzkę.

- Jestem w kropce - powiedziała roztargnionym głosem. - Wygląda na to, że Ruthie umówiła mnie na dzisiaj. Przed chwilą zjawił się jakiś człowiek, a ja byłam jeszcze w szlafroku. Przeprosiłam go na chwilę i przybiegłam tu. Nie chcę być sama w czasie rozmowy.

Przejechała mocniej po włosach i szczotka wypadła jej z ręki. Schylili się oboje, lecz Cole pierwszy zdążył ją podnieść.

- Dzięki - powiedziała cicho Jen, unikając jego wzroku.

Nic dziwnego, po jego głupich uwagach o całowaniu. .. Uznał, że powinien ją przeprosić.

- Muszę już wracać - poinformowała. - Pomożesz mi, czy nie?

- Oczywiście. Już idę po narzędzia.

Zauważył, że przyjęła to z wyraźną ulgą. Odchodząc, odwróciła się na chwilę.

- Nie prosiłabym, gdyby nie było to konieczne.

- Posłuchaj, Jen - zaczął, wkładając ręce do tylnych kieszeni spodni. - Przepraszam za uwagi na temat...

- Każdy ma prawo do swojego zdania - przerwała smutnym tonem i w pośpiechu zniknęła za drzwiami. Cole zaklął cicho i rozejrzał się za swoim pasem z narzędziami.

Jen poprawiła włosy i szybko wkroczyła do pokoju, gdzie czekał niespodziewany rozmówca.

- Panie McDermott, przepraszam za zamieszanie. Moja asystentka musiała nagle wyjechać i nie wiedziałam, że umówiła spotkania również na sobotę.

- Nazywam się McDonnett, Kevin McDonnett - sprostował. Nie próbował się uśmiechnąć. Jak większość ubiegających się o pracę, był przejęty i zdenerwowany. To dodało Jen pewności siebie. Ostatecznie, polując na męża, to ona musiała zdecydować o własnym życiu.

- Oczywiście, pan McDonnett - potwierdziła oficjalnym tonem.

Musiała przyznać, że Cole miał rację. Ci z kandydatów, którzy byli ludźmi sukcesu, nie interesowali się jej propozycją. Zaczęła się obawiać, że jej przyszły mąż będzie życiowym nieudacznikiem. Miała jednak cichą nadzieję, że w następnym tygodniu w czasie powtórnych rozmów z najlepszymi kandydatami uda się wyłuskać tego jedyne, najlepszego.

- Tak, propozycja jest interesująca - zadeklarował pan McDonnett, wyrywając Jen z zamyślenia. - Myślałem o tym, żeby się wreszcie ustatkować.

Spojrzała na niego uważnie. Jego mina i spojrzenie świadczyły, że rzeczywiście jest zainteresowany.

Frontowe drzwi otwały się nagle. Wkroczył Cole, pobrzękując narzędziami zawieszonymi na pasie. Jak zwykle był bez koszuli. Spojrzał przelotnie na Jen.

- Przepraszam, że wtargnąłem - zagrzmiał.

McDonnett spojrział na niego, chrząknął i raptownie zeszywniał.

- Kto to? - spytał zaniepokojony.

- Nie zwracaj na niego uwagi, Kevin, to tylko konserwator. - Spojrzała na Cole'a. - Panie Noone, proszę śmiało, nie będzie nam pan przeszkadzał.

Miała nadzieję, że jakimś cudem jego obecność nie będzie jej rozpraszać.

- Dobrze, proszę pani - odpowiedział i spojrział na Kevina, jakby zamierzał go rozdeptać. - Cześć - rzucił w jego kierunku.

- Witam pana - odezwał się Kevin niepewnie. Cole skinął głową i pomaszerował na tył budynku.

- Gdybym był potrzebny, panno Sancroft, wystarczy zawołać - dodał, wychodząc.

Gdy Kevin znów spojrział na Jen, na jego twarzy widać było napięcie. Jen musiała przyznać, że Cole naprawdę wypadł przekonująco w roli Tarzana. Na szczęście potrafił zachować umiar. Gdyby trochę przeszarżował, kandydaci uciekaliby, przekonani, że ratują życie.

McDonnett zaczął opowiadać o swojej pracy. Był szefem supermarketu w Dallas. Jen, żeby nie zasnąć, od czasu do czasu potakiwała głową.

- To bardzo interesujące - stwierdziła w końcu i poprosiła, żeby opowiedział o swoich prywatnych zainteresowaniach. Zauważyła, że był schludnie ubrany: trzyczęściowy garnitur w kolorze śliwki, jasnoniebie-

ska koszula w drobne paski, granatowy krawat. Jeszcze nie skończył mówić, gdy rozległ się kolejny dzwonek. Jen westchnęła. Ruthie widocznie zaplanowała spotkania na cały dzień. Wstała i wyciągnęła rękę na pożegnanie.

Zaprosiła Kevina na powtórny rozmowę w najbliższą środę. Wreszcie miała jakiegoś finalistę. Skończył studia, miał kierownicze stanowisko, inteligentnie rozmawiał, dobrze się ubierał, chciał założyć rodzinę i nie stanowiło dla niego problemu, że zarabia mniej niż potencjalna małżonka.

Szkoda tylko, że absolutnie jej nie pociągał.

Rozmowy zakończyły się po południu około piątej. Kevin okazał się jedynym sensownym kandydatem. Jen nie mogła zrozumieć, dlaczego zupełnie jej nie cieszy, że wreszcie zbliżyła się do celu.

Wkrótce po odjeździe ostatniego gościa Cole również wyszedł z domu. Jen, widząc, że odchodzi, poczuła ulgę, a jednocześnie zrobiło jej się przykro. Zmęczona sięgnęła po kanapkę. Zauważyła kompakt z francuskimi ariami i włożyła go do odtwarzacza. Przy dźwiękach operowej muzyki wspięła się na schody, wzięła kąpiel i padła na łóżko, marząc o długim wypoczynku. Muzyka dobiegająca z dołu przeszkadzała jej zasnąć, ale nie miała siły, żeby wstać i ją wyłączyć.

W niedzielę rano po śniadaniu jeszcze raz przejrzała notatki. Nie chciała pominąć żadnego rozsądnego kan-

dydata. Po dwóch godzinach miała tego szczerze dość. Postanowiła zrobić>obie przerwę, popływać lub poopalać się na plaży. Włożyła różowe bikini. Nie dbała, co na to powie Cole. Miała w nosie jego opinię. Wyszła przez tylne drzwi, zerkając ukradkiem, czy Cole nie kręci się w pobliżu. Minęła furtkę i wyszła na piasek. Położyła się na kocu, żeby opalić plecy: Oparła głowę na rękach i natychmiast poczuła senność. Od tygodnia nie miała czasu porządnie się wyspać.

Gdy usłyszała kwakanie, natychmiast uniosła głowę. Zdziwiła się, że już zdążyła zasnąć.

- Przepraszam.

- Za co? - spytała, odwracając się.

- Za kaczkę. Obudziła cię.

Jen spojrzała na niego. Ociekał wodą. Stał nad nią w czarnych, obcisłych slipach. Szybko odwróciła wzrok w stronę morza.

- Jeśli odejdziesz razem z kaczką, to znów będę mogła zasnąć.

- Posmarowałaś się jakimś filtrem? Ciężko westchnęła.

- Oczywiście. Możesz sobie o mnie myśleć, co chcesz, ale nie jestem idiotką.

- Ostrożnie ze słońcem. Masz bardzo delikatną skórę.

- Dziękuję, że troszczysz się o mnie jak czuła niańka. - W tym momencie kaczkę wtrąciła się do rozmowy głośnym kwakaniem. - Nie do ciebie mówię, tylko do tej irytującej, wielkiej gęsi.

- Chyba raczej do gąsiora? - roześmiał się Cole.
 - Znikajcie stąd natychmiast!
 - Pozwól, posmaruję ci plecy grubszą warstwą tego filtru - powiedział poważnym głosem.
 - Nawet gdyby plecy mi się zapaliły, nie pozwolę ci się dotknąć. Jasne?
 - Pewnie - odpowiedział, ale nie ruszył się z miejsca nawet na krok.
 - Nie masz nic do roboty?
 - Mam wolne. Zresztą wczoraj też powinienem właściwie odpoczywać.
- Jen poczuła się winna.
- Jaką masz dniówkę? Zapłacę ci za wczoraj.
 - Nie chcę twoich pieniędzy. Właściwie nic od ciebie nie chcę.
 - A jednak czegoś chcesz. Wpędzić mnie w kompleksy, prawda?
- Zaskoczony uniósł brwi.
- Ale nic z tego - mówiła dalej. - Mam już fantastycznego kandydata, z którym spotkam się jeszcze raz. Możliwe, że do środy znajdę kolejnego lub nawet dwóch. Co ty na to?
- Spojrzał na nią uważnie.
- Podobno co minutę rodzi się głupiec, tak więc trzech głupców, przepraszam, trzech finalistów, to statystycznie całkiem poprawny wynik. Żadna tam rewelacja - powiedział i potruchtał w stronę wody.
 - Nie obrazisz mnie tak łatwo! - zawołała za nim. -

I nie odchodź, gdy do ciebie mówię! - dodała, ale już zdążył zanurkować. Kaczka poleciała za nim i usiadła na falach.

Jen wstała i okryła ramiona ręcznikiem. Nie chciała spiec się na słońcu, bo Cole miałby kolejny powód do docinków.

Przez resztę dnia natknęła się na niego jeszcze wielokrotnie. Za każdym razem przypominała sobie o pocałunku, mimo że starała się o nim zapomnieć raz na zawsze. Wtorkowe rozmowy dobiegały końca. Jen unikała kontaktów z Cole'em, choć pojawiał się przez ostatnie dwa dni, żeby odegrać rolę groźnego obrońcy. W poniedziałek znalazła drugiego finalistę. Jim Wimmer był fotografem pracującym na własny rachunek. Zajmował się ślubami i portretami. Przystojny, jasnowłosy, świetny rozmówca. Był w wieku Jen, pasjonował się tenisem. Co prawda nic na ten temat nie wiedziała, ale uznała, że bez trudu nauczy się grać. Miał jedną, drobną wadę: denerwujący, krzywy uśmiech. Dzisiejszy dzień nie przyniósł podobnego sukcesu. O czwartej po południu Jen poczuła narastający ból głowy. Rozmówcy byli wyjątkowo nieatrakcyjni. Najpierw zjawił się jakiś podejrzany handlowiec, potem rachityczny piesek wbiegł z właścicielem kurczowo ściskającym koniec smyczy. Pod koniec dnia, gdy na podjazd wtoczył się samochód kolejnego kandydata, Jen ucieszyła się, że to

już ostatni. Niech przynajmniej on będzie do rzeczy, pomyślała.

Z miłym uśmiechem na ustach za drzwiami stał wysoki, energiczny pan. Pierwszy gość tego dnia, któremu nie miała ochoty zamknąć drzwi przed nosem. Wprowadziła go do środka. Doktor Van Allison był anestezyjologiem. Dobiegał czterdziestki. Powiedział Jen, że ma już dosyć usypiania ludzi. Chętnie zająłby się pisaniem powieści sensacyjnych i horrorów, żeby czytelnicy nie mogli po nich zasnąć. Uśmiechnęła się. Miał poczucie humoru i - jak wynikało z rozmowy - lubił gotować i przepadał za dziećmi. Zgromadził odpowiedni kapitał, by wcześniej przejść na emeryturę i zająć się pisaniem.

Nie mogła uwierzyć własnemu szczęściu. Przystojny, świetnie ubrany, chętny do małżeństwa... Doktor Van Allison natychmiast stał się finalistą numer jeden. Gdy wyszedł o wpół do szóstej, Jen odzyskała wiarę w siebie. Sprawdziła się jej filozofia poszukiwania idealnego kandydata na męża. Uśmiechnięta i ożywiona, zamknęła drzwi za wychodzącym.

- Cóż, panie Noone - powiedziała do siebie. - Nawet pan nie może powiedzieć, że doktor Allison to głupiec.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Jen połknęła dwie aspiryny, żeby pozbyć się bólu głowy. Rozmowy z finalistami okazały się bardzo stresujące. Kevin czekał na zewnątrz. W szortach nie wyglądał tak oficjalnie jak w sobotę i nie był już tak spięty. Jen zaproponowała spacer po plaży. Miała nadzieję na miłą, luźną rozmowę. Starła się wyglądać atrakcyjnie, choć McDonnett wcale jej nie pociągał. Wyszła z domu, spojrzała na zegarek. Druga trzydzieści. Na spotkanie przeznaczyła godzinę. Może uda mu się przez ten czas podbić jej serce.

Wzięła Kevina za rękę. Gdy przechodzili przez trawnik, zauważyła Cole'a obok mniejszego domku. Kevin też zwrócił uwagę na hałaśliwe uderzenia młotka.

- Kim on jest?
- Złota rączka, spec od wszystkiego.
- Wygląda imponująco.
- Nie zwracaj na niego uwagi - powiedziała, patrząc na Cole'a z trudnym do ukrycia zainteresowaniem.
- Ostatnim razem spojrzał na mnie, jakby właśnie miał wolną chwilę, żeby mnie zamordować.
- Na wszystkich tak patrzy - starała się go uspokoić,

jednak nadal nieufnie spoglądał w stronę Cole'a. Niewiele brakowało, żeby wpadł na furtkę.

- Ostrożnie - powiedziała Jen. Nagle przyszło jej coś do głowy. Upewniła się, że Cole patrzy w ich kierunku.

- Myślę, że powinniśmy się pocałować - oświadczyła z ożywieniem.

- Co?! - Kevin uznał, że chyba się przesłyszał.

- Pocałuj mnie - powtórzyła z miłym uśmiechem.

- Jasne.

Objął jej ramiona i zbliżył wargi do jej ust. Jen zerknęła w bok. Cole nadal im się przyglądał. Świetnie! Przymknęła oczy i objęła Kevina za szyję. Po chwili stało się jasne, że nie uważał jej pocałunków za nieudolne.

Niestety, na Jen jego płomienny zapach nie zrobił wrażenia. Jedyna przyjemność wynikała z tego, że wreszcie mogła zrobić coś na złość Cole'owi.

- Dziękuję, wystarczy - powiedziała, nim sprawy przybrały niebezpieczny obrót. - Lubisz spacerować po plaży? - spytała. Przypomniała sobie wreszcie, że zjawiała się tu, żeby znaleźć męża, a nie dokuczyć Cole'owi.

- Cóż, właściwie jestem uczulony na oparzenia meduz, więc...

Rozumiem.

Nie mogła pojąć, dlaczego w porównaniu z Cole'em Kevin wydawał jej się zupełnie bez wyrazu.

- Lubisz francuskie arie? - spytała nagle. Spojrzał na nią zaskoczony.
- Głupek wreszcie poszedł. Wyjątkowy pajac -mruknął pod nosem Cole, chowając młotek do skrzynki z narzędziami. Zastanawiał się, czy Jennifer Sancroft, która urzęduje tu polowanie na męża, jest tą samą osobą, którą tak dobrze oceniają współpracownicy. Podobno jest zrównoważona, bystra, zawsze do dyspozycji kontrahentów, godna zaufania i niezawodna w trudnych sytuacjach.

Pokręcił głową.

- Powinni ją teraz zobaczyć. Zrównoważona? Dobre sobie - mamrotał pod nosem. Nie uważał, że szukanie męża z ogłoszenia świadczy o nadzwyczajnej bystrości.

Musiał jednak przyznać, że również on sam ostatnio nieco zdumiał. Najpierw zmusił ją do pocałunku, a potem powiedział, że nie jest w tym najlepsza.

- Barringer, musisz popracować nad sobą! - mruknął. Kiedy zobaczył, że Jen całuje się z tym facetem,

zamarł i nie mógł uwierzyć własnym oczom. Po chwili znów zajął się pracą, ale natychmiast uderzył się młotkiem w palec.

Cisnął robotę w cholerę. Przeskoczył przez płotek i poszedł na plażę. Kaczka jak zwykle była w pobliżu.

- Cześć, mała - powiedział miłym tonem. - Trochę hałasowałem, ale chyba cię to nie wystraszyło?

Kaczka kwaknęła w odpowiedzi. Cole zrzucił ubra-

nie i wbiegł nago do wody. Postanowił pływać, dopóki nie przestanie myśleć o Jen. Miał nadzieję, że nie będzie musiał płynąć aż do brazylijskich plaż.

Pół godziny później był z powrotem. Jen stała obok jego ubrania, na którym rozsiadła się kaczka. Cole stanął w wodzie sięgającej mu do pasa.

- Coś ci potrzeba? - zawołał.

- Nie. Po prostu przechodziłam. Pomyślałam, że może utonąłeś. Widzę, że jednak nie. Cole nie miał ochoty na żarty.

- Może sobie stąd pójdziesz? Szkoda twego wolnego czasu.

Skrzyżowała ręce na piersi.

- Jesteś nagi?

- Dlaczego pytasz? Przeganiaasz nudystów?

- To znaczy: tak?

- Owszem.

Na chwilę zamilkła zaskoczona.

- Nie wstydzisz się?

- Nie mam się czego wstydzić. Przecież to nie ja szukam męża z ogłoszenia.

Nachmurzyła się.

- Nie zmieniaj tematu. Dobrze wiesz, że mam dobre intencje.

- Zgoda. Może razem popływamy na golasa?

- Chciałbyś!

- Pewnie - powiedział cicho. Zrobił kilka kroków w jej kierunku i nieco wynurzył się z wody.

- Nie usłyszałam! - zawołała.

- Powiedziałem, że wychodzę.

Zrobił kilka kolejnych kroków. Woda już dawno nie sięgała mu do pępka. Był pewien, że na widok nagiego faceta ta dziewczyna ucieknie z krzykiem.

- Nawet nie próbuj! - zaprotestowała, patrząc na niego z przestraszonym.

- Dlaczego mam zostać w wodzie? Myślisz, że wyrosną mi płetwy i spędzę tu resztę życia? Jen przepędziła kaczkę z ubrania Cole'a.

- Łap!

Niestety, spodnie wpadły do wody. Cole bez skrepowania ruszył w ich kierunku.

Natychmiast dobiegł go przenikliwy okrzyk. Z satysfakcją kątem oka zauważył, że Jen błyskawicznie odwróciła się plecami.

- Ależ panno Sancroft - zaczął, ratując dzinsy przed zatopieniem. - Polując na facetów, nie wolno się przed nimi chować.

- Powinieneś zachować odrobinę przyzwoitości.

- A ty odrobinę zdrowego rozsądku. - Dopiął spodnie i wyszedł na brzeg. - Mam pytanie.

- Dobrze, że tylko jedno - odpowiedziała zaczepnie. Jednak Cole czuł, że nie była zbyt pewna siebie, choć nadržbiała miną.

- Jak będziesz mogła szanować człowieka, który ożeni się z tobą z tak żalosnych powodów?

Zawahała się. W końcu spojrzała oburzona.

- Jeśli chcę wybrać partnera, kierując się rozsądkiem

i logiką, to musi być to od razu żalosne? Tak jest bezpieczniej, niż pozwolić, żeby decydowały hormony! Pokręcił głową.

- Czasem trzeba zaryzykować. A jeśli wyjdiesz za rozsądnie i logicznie wybranego faceta, i któregoś ranka obudzisz się u jego boku, czując, że kochasz kogoś innego?

- Na pewno nie.

- Nie da się kontrolować uczuć. Jen zagryzła wargi.

- Wszystko można kontrolować - mruknęła bez przekonania.

- Sama w to nie wierzysz... Jak się udał dzisiejszy dzień? Pewnie usłyszę, że wręcz doskonale.

- Nic nie jest doskonale - przyznała cicho.

- Właśnie o to mi chodzi. Szczęśliwe małżeństwa też nie są doskonale i trzeba się mocno starać, by szczęśliwymi pozostały. Dlatego zgadzać się na związek, który od razu jest taki sobie, bez uczuć i emocji, to głupota.

Poczuła, że łzy napływają jej do oczu.

- Poczytaj sobie, co się składa na udane małżeństwo - powiedziała ostro i uniosła wysoko głowę. - Jako kawaler nie jesteś chyba najlepszym ekspertem?

Spotkanie z Jimem Wimmerem, kolejnym finalistą, dobiegało końca. Jen była rozczarowana po dniu spędzonym z Kevinem McDonnettem, ale teraz czuła się zrozpaczona. Chociaż Jim był inteligentny i towarzyski, jego krzywy

uśmiech bardzo jej przeszkadzał. Nie był to wystarczający powód, żeby skreślić go z listy. Przyjemnie pachniał, ubierał się elegancko, potrafił gotować, choć za tym nie przepadał. Mieli wspólne tematy do rozmowy, a jednak w jego towarzystwie nie czuła się najlepiej.

- Chodźmy przejść się po plaży - zaproponowała.

Wyszli z domu. Cole właśnie piłował kawałek drewna, żeby naprawić ramę okienną. Tym razem nie zaproponowała pocałunku na pokaz. To byłaby dziecinada. Wstydziła się, że zrobiła tak poprzednim razem. Przypomniała sobie moment, kiedy Cole wychodził z wody. Na szczęście nie mógł wiedzieć, jak często o nim myślała i jak bardzo komplikował jej łowy na męża.

Może się zakochałam i dlatego żaden z tych kandydatów mi się nie podoba? - pomyślała.

- Piękna plaża - zauważył Jim, wyrywając ją z głębokiej zadumy.

Rozejrzała się wokół, zaskoczona, że odeszli już tak daleko od domu.

- Wspaniała - przyznała Jen.

- Zupełnie jak ty - stwierdził z krzywym uśmiechem. - Jesteś naprawdę piękną kobietą.

- Dziękuję - powiedziała, uśmiechnęła się i spojrzała mu w oczy. Nie potrzebował lepszego zaproszenia. Pochylił się, pocałował ją i brutalnie przycisnął do siebie. Brakło jej tchu i próbowała go odepchnąć. Odwróciła głowę. Próbowała krzyknąć, żeby ją puścił, ale znów zamknął jej usta brutalnym pocałunkiem.

Popchnął ją na piasek. Najwidoczniej uważał, że miłe rozmowy powinny kończyć się uprawianiem seksu. Bezskutecznie próbowała go odepchnąć.

- Dziecinko - powiedział uspokajająco - już nie musisz udawać takiej niedostępnej.

- Przestań! Puść mnie! - krzyknęła. - Będę wołać o pomoc!

Zachichotał.

- Kto to usłyszy?

Dopiero teraz dotarło do niej, że nie miał zamiaru ustąpić. Poczowała narastającą wściekłość.

Gdy pochylił się, żeby znów ją pocałować, ugryzła go w dolną wargę. Jęknął i na chwilę zwolnił uścisk. Natychmiast wyrwała rękę i sypnęła mu piaskiem w oczy. Stoczył się z niej, próbując pozbyć się piasku.

- Ty więdźmo, chcesz mnie oślepić? - wrzasnął. Poderwała się z ziemi i popędziła w kierunku domu.

Zapadała się w głębokim piasku i traciła oddech, ale w końcu dopadła furtki. Na szczęście Cole był w pobliżu. Naprawiał okno. Tym razem naprawdę potrzebowała jego pomocy.

- Cole! - zawołała, biegnąc w jego kierunku. Zauważyła, że zgubiła jeden but, a bluzka straciła guzik.

Cole odwrócił się. Popatrzył zdziwiony, ale po chwili na jego twarzy odmalowała się złość.

- To bydlak!

Jen zatrzymała się tuż przed nim.

- Czy on tu biegnie? - spytała zdyszana, bojąc się spojrzeć przez ramię.
- Jim wtoczył się przez furtkę. Walnął nią z hukiem. Twarz miał czerwoną z wściekłości. Wskazał palcem na Jen.
- Chcę z nią rozmawiać.
 - Skąd ta nagła potrzeba? - spytał spokojnie Cole, robiąc kilka kroków w jego kierunku.
 - Próbowала mnie oślepić!
 - A jakież miała ku temu powód?
 - To wariatka. Najpierw mnie prowokuje, a potem udaje zimną.
 - Rozumiem. Powiedziała ci, draniu, żebyś spadał, a ty nie posłuchałeś.
- Spojrzał na Cole'a. Wielki facet z młotkiem w ręku... Jim stał się nagle nadzwyczaj potulny.
- Panno Sancroft - spytał Cole - czy życzy sobie pani, żeby ten zalotnik stąd odszedł?
 - Tak - powiedziała cicho. Cole skinął głową.
 - Przyjacielu, przeproś panią i spadaj - rzekł z zimnym uśmiechem. - Masz na to minutę.
- Jim wymamrotał jakieś przeprosiny i poszedł do samochodu. Jen nie poruszyła się, dopóki nie odjechał. Odwróciła się do Cole'a. Stał bez ruchu, wielki, przystojny, muskularny. Podeszła bliżej i ujęła jego dłoń.
- Dziękuję - powiedziała, patrząc mu w oczy. - Naprawdę jestem ci wdzięczna.

Miała cichą nadzieję, że może ją pocałuje. Cichą nadzieję i wielkie pragnienie. Zrób to, pocałuj mnie, błagała w duchu, Jednak telepatia nie poskutkowała. Cole tylko spojrział na nią.

- Skończ wreszcie z tymi wygłupami - powiedział i wrócił do przerwanej pracy. Przez chwilę przyglądała się temu, co robił. W końcu odwróciła się z przygnębioną miną.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Doktor Van Allison, trzeci finalista, był absolutnie doskonały. Wykształcony, inteligentny i z nienagannymi manierami. Miał zamiar zająć się pisarstwem i pracować w domu, a na dodatek lubił gotować. Był przystojny i miał odłożony kapitał. Dlaczego więc Jen po dniu spędzonym w jego towarzystwie uścisnęła mu rękę, podziękowała za poświęcony czas i odesłała tam, skąd przyszedł? Był idealny, ale nie był tym, którego naprawdę chciała.

Pomyślała, że rezygnując z Van Allisona, popełnia szaleństwo. Z jakiegoś powodu tylko Cole wydawał jej się właściwym kandydatem na męża. Cały misterny plan diabli wzięli. Cole nie powinien być jej partnerem. Rzemieślnik bez wyższego wykształcenia, pewnie nawet nie miał garnituru. Co z tego, że po mistrzowsku parzył miętową herbatę i uśmiechał się zniewalająco?

Nie wiedziała, co ma dalej począć ze swoim życiem. Na razie postanowiła przejść się po plaży.

Był piątkowy wieczór. Cole gdzieś zniknął. Była pewna, że nie wróci na noc. Głęboko wciągnęła morskie powietrze. Z trudem powstrzymała się od płaczu. Gdy-

by nie poznała Cole'a, teraz planowałyby ślub z Van Allisonem. Usiadła na piasku. Objęła kolana i patrzyła na fale. W czwartek miała się spotkać z J.C. Barringerem, właścicielem firmy. W czasie rozmowy przy kolacji powinna przedstawić mu męża. Wiedziała, że jeśli do poniedziałku nie znajdzie kandydata, nie zdąży załatwić formalności związanych ze ślubem.

Usłyszała plusk. Ktoś podpłynął blisko brzegu i teraz wychodził z wody. Spojrzała pod słońce. To był Cole. Ucieszyła się na jego widok, tym bardziej że tym razem miał na sobie kąpielówki.

- Cześć. Co tu robisz? - spytał zdyszany. - Czy słusznie się domyślam, że się zaręczyłaś i właśnie świętujesz?

Spuściła wzrok.

- Tak. Takie oziębłe typy jak ja właśnie w ten sposób świętują zaręczyny.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Kto zwyciężył? Chudy, maniak seksualny czy ten uśmiechnięty?

Oparła głowę o kolana.

- Ten uśmiechnięty jest dowcipny, czarujący i absolutnie doskonały.

- Rozumiem, że jego wybrałaś?

- Nie twoja sprawa.

Przez chwilę słychać było tylko szum fal.

- Dlaczego jesteś taka smutna, Jen? Przecież postawiłaś na swoim. Powinnaś chodzić z zadartym nosem i powtarzać: A nie mówiłam, że mi się uda?

Spojrzała na niego. Patrzył na nią z sympatią i zrozumieniem. Nie była w stanie kłamać.

- Nie wybrałam żadnego - przyznała drżącym głosem. Zasłoniła oczy, żeby nie zauważył napływających łez. - Jednak nie mam zamiaru się poddać.
- Już nic nie rozumiem - powiedział Cole. - Jeśli doktor był doskonały, dlaczego z niego zrezygnowałaś? Czyżby wykorzystanie innego człowieka do własnych celów okazało się trudniejsze, niż myślałaś?
- Nikogo nie zamierzałam wykorzystywać - oświadczyła rozżalona. - Nie chcesz tego zrozumieć, więc nie będę ci tłumaczyć kolejny raz.

Nie miała najmniejszego zamiaru przyznać, że właśnie z jego powodu nie podjęła decyzji.

- Jak teraz chcesz szukać męża? Zaczepiać ludzi na ulicy?
- Jeśli będę musiała... - powiedziała zamyślona. Cole przyglądał się jej uważnie. Czuła się nieswojo jako obiekt jego ciągłego zainteresowania. Jednak lubiła jego towarzystwo, nawet wtedy gdy była na niego wściekła.

Nagle przyszło jej coś do głowy. Poczowała przyływ odwagi.

- Cole, ożenisz się ze mną?

Była zaskoczona własnymi słowami. Zabrzmiały spokojnie i zwyczajnie. W napięciu obserwowała jego twarz. Wiedziała, jaka musi być odpowiedź. Znała przecież jego zdanie na temat polowania na męża.

Czuła się jak mała dziewczynka, która zapytała, czy może pójść do cyrku i teraz z przejęciem czeka na pozwolenie.

Cole najpierw zamrugał, a potem uniósł brwi.

- Wiesz, ja w odróżnieniu od ciebie wierzę w prawdziwą miłość.

Obawiam się, że się w tobie zakochałam, pomyślała. Nie potrafiłaby tego głośno powiedzieć. Mijały sekundy.

- Czy chcesz powiedzieć, że się zgadzasz? - spytała. Czekwała na odmowę.

- Próbujesz mi powiedzieć, że mnie kochasz? Odpowiedź twierdząca nie przeszłaby jej przez usta.

Był zwykłym, prostym człowiekiem bez ambicji. Nie takiego męża szukała. Powinna szczerze odpowiedzieć: nie. Jednak za każdym razem, gdy była przy nim, czuła się zbyt przejęta i poruszona, by mogło to być cokolwiek innego niż miłość.

Lecz jak miała wyznać miłość mężczyźnie, który tak krytycznie wyrażał się o jej kobiecości? Położyła mu rękę na ramieniu. Starła się, żeby to, co powie, zabrzmiało przekonująco.

- Wiesz, Cole, szanuję cię i mam do ciebie zaufanie. Spojrzał na jej dłoń, potem na twarz.

- Zapewne mi ufasz, ale na pewno nie szanujesz, - Uśmiechnął się chłodno. - Nawet tak prosty człowiek jak ja ma swój rozum. Nie, nie szanujesz mnie. Wiem, jak ważne są dla ciebie ambicje, pozycja zawodowa i wykształcenie.

- Ależ nie - zaprotestowała, ściskając jego rękę. Uważał ją za neurotyczkę, która nie potrafi zdobyć się na szczerłość. Miała przed sobą niewykonalne zadanie, żeby go przekonać. - Wiele żon pracowników mojej firmy nie studiowało, a jednak świetnie sobie dają radę na oficjalnych spotkaniach.

Wysoko uniósł brwi.

- Mam być dla ciebie kimś w rodzaju żony czy damy do towarzystwa? - spytał zaskoczony.

- Ależ nie dosłownie. Jesteś świetny w domowych pracach i potrafisz gotować. Pewnie chciałbyś mieć dzieci?

Patrzył na nią z niedowierzaniem, jakby to, co mówiła, nie mieściło mu się w głowie.

- Nie mam nic przeciwko temu, żeby kiedyś doczekać się dzieci - powiedział po długiej przerwie.

- Widzisz? Będzie z nas dobre małżeństwo - mówiła szybko. Zależało jej, żeby nie odrzucił tej propozycji. - Szacunek i zaufanie to podstawa. Nie musiałbyś martwić się o przyszłość, bo bardzo dobrze zarabiam.

- Nie chcę, żebyś wykorzystywała mnie do robienia kariery.

Poczuła się paskudnie. Nie było sensu dłużej się oszukiwać. Cole nigdy nie ożeni się z nią.

Oparła policzek na kolanach i spojrzała w jego stronę.

- Zupełnie mnie nie szanujesz, prawda? - spytała szeptem.

Jennifer Sancroft spojrzała na Cole'a z niespodzie-

waną czułością i ciepłem. Pomyślał, że będzie długo pamiętał tę chwilę. Nie mógł oderwać od niej wzroku. Zagryzła dolną wargę, do oczu napłynęły jej łzy. Do diabła, co ja tu robię?
- pomyślał.

- Nie szanuję tego, co tutaj wyrabiasz - powiedział. - Natomiast domyślam się, że w pracy jesteś zupełnie inna i pewnie jesteś świetną specjalistką.

Nie powiedział tego bez powodu. Poprzedniego wieczoru spotkał się z drugim wiceprezesem i jego żoną. Zdążył już porównać wszystkich ubiegających się o stanowisko prezesa. Jennifer była najlepsza z całej trójki.

- Żebyś wiedział. Jestem absolutnie wyjątkowa - stwierdziła z przekonaniem. - Szczerze mówiąc, to właśnie ja powinnam zostać prezesem. Widzisz, nasza firma specjalizowała się w trudnych sprawach podatkowych, nie baliśmy się w spornych sprawach stawać przed sądem. Dzięki temu zyskaliśmy reputację. Wspecjalizowałam się właśnie w tej dziedzinie, wyprzedziłam innych. Kiedy sprawa jest naprawdę skomplikowana, firmy zgłaszają się tylko do mnie po pomoc.

Nie odezwał się.

- Nie możesz zrozumieć, dlaczego chcę być mężatką przed rozmową kwalifikacyjną, a przecież sprawa jest prosta. Przy ostatnich wyborach prezesa zostałam upokorzona. Pominęto mnie, mimo że jestem najlepsza. Szlag mnie trafia na myśl, że teraz sytuacja może się powtórzyć, a wszystko dlatego, że jestem samotna!

- Dlaczego w takim razie nie pójdziesz do tego dur-

nia, właściciela firmy i nie wygarniesz mu prawdy w oczy?

- Przecież ci mówię: nie mam szans na awans, bo jestem samotną kobietą. Tak mi powiedziano poprzednim razem. Płci nie zmienię, ale mogę nie być samotna. A jeśli szukam męża, dzięki któremu rozwiążą się moje problemy w pracy, dlaczego nie mam założyć prawdziwej rodziny i mieć dzieci?

- I dlatego musiałaś szukać męża przez ogłoszenie? Nie było lepszego sposobu? - spytał. Spojrzała na niego z wyrzutem.

- Pewnie uważasz, że byłoby bardziej romantycznie, gdybym chodziła po barach dla samotnych i na przypadkowe randki, nie dosypiała, zniszczyła sobie zdrowie, a potem straciła pracę?

Tym razem jej odpowiedź przekonała go.

- Zgoda, ale i tak uważam, że w ten sposób nie można stworzyć szczęśliwego małżeństwa. Potarła oczy.

- Możesz się rozwieść - powiedziała cicho.

- Słucham?

Wzięła głęboki wdech.

- Możesz wziąć rozwód. Masz inne poglądy na miłość niż ja, więc nie proszę o nic na zawsze. Zrób mi tę przysługę na jakiś czas. Nie żądam, żebyś przestał się spotykać z innymi kobietami ani mówić wszystkim, że wzięliśmy ślub. Możesz zakończyć nasze małżeństwo, gdy minie najbliższy czwartek - mówiła, patrząc mu

z nadzieją w oczy. - Pójdź ze mną na spotkanie z Bar-ringerem. Pomożesz mi go przekonać, że jestem osobą ustabilizowaną, solidną mężatką, najlepszą kandydatką na prezesa. To powinno przekonać nawet tego ograniczonego, starego durnia.

Kobietko, właśnie chcesz wyjść za tego ograniczonego, starego durnia, pomyślał.

- Powiedziałaś, że masz teraz ostatnią szansę, żeby założyć prawdziwą rodzinę. Jeśli mam być twoim mężem tylko przez chwilę, to raczej nic nie wyjdzie z twoich planów.

Nachmurzyła się.

- Trudno. Wszyscy myślą, że wyjechałam na miesiąc miodowy, więc nie mam wyjścia. Przynajmniej zdobędę stanowisko, na które zasługuję.

Czyli była gotowa oszukać wszystkich, żeby zdobyć lepszą pracę... Przez chwilę Cole łudził się, że usłyszy coś innego. Miał nadzieję, że może jednak go... Pokręcił głową nad własną naiwnością.

Mimo wszystko podjął decyzję. Głupią, wręcz idiotyczną, lecz widząc zrozpaczone spojrzenie Jen, nie był w stanie kierować się rozsądkiem.

- W porządku, szanowna panno Sancroft. Zostaniemy małżeństwem na jakiś czas i oczywiście pójdę na spotkanie z tym starym durniem.

Patrzyła na niego błyszczącymi oczami. Z trudem powstrzymał się, żeby jej nie objąć i pocałować. Wstał. Bezpieczniej będzie trzymać się na dystans.

- Muszę wyjechać na weekend - powiedział. Potrzebował chwili spokoju, żeby wszystko jeszcze raz przemyśleć. Jeśli miał zostać mężem Jennifer jako Cole Noone, musiał zdobyć fałszywy dowód tożsamości. Znał mnóstwo dziwnych ludzi, więc nie powinno to stanowić problemu, ale potrzebował czasu. - W poniedziałek rano spotkajmy się w Corpus Christi w sądzie o jedenastej.

Spojrzała na niego z wdzięcznością i usiłowała coś powiedzieć.

- Nie próbuj mi dziękować - powiedział szybko - bo się wycofam.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Od piątku Jen powtarzała sobie co jakiś czas, że Cole obiecał jej małżeństwo. Co prawda tylko na jakiś czas, ale jednak. Robiła, co mogła, żeby się w nim nie zakochać, i... zakochała się. Miała przeczucie, że będzie to jedyne małżeństwo w jej życiu. Po Cole'u nie będzie miejsca dla innego mężczyzny.

Próbowała zapomnieć, że mogłoby być inaczej. Wiele by dała, żeby nie myślał o niej jak o zapatrzonej w siebie egoistce. Namówiła go na ślub, ale przy okazji utwierdził się w przekonaniu, że myślała tylko o sobie. Nie potrafiła zdobyć się na wyznanie, że jej poszukiwania doskonałego męża nie powiodły się wyłącznie z jego powodu. Była zakochana i nic dobrego z tego nie mogło wymknąć. Powtarzała sobie, że nie są dla siebie odpowiednimi partnerami. Niczego to nie zmieniło. Nadal była zakochana.

Dziś miała wziąć ślub. Mimo że uważała to za szaleństwo, nie mogła się już doczekać. Zadała sobie wiele trudu, żeby ładnie wyglądać. Poprzedniego dnia pojechała do Corpus Christi i kupiła dopasowany kostium z białego jedwabiu. Doskonały do ślubu, lecz zupełnie

nieprzydatny na co dzień. Zdawała sobie sprawę, że pewnie wystąpi w nim tylko raz. Szalona ekstrawagancja, ale Jen chciała, żeby wszystko było prawdziwe. Była przywiązana do tradycji. Nie mogła zrezygnować z białego stroju, mimo że dla Cole'a była to zapewne tylko farsa.

W poniedziałek spotkał się z nią w sądzie. Wypełnił niezbędne dokumenty i wyszedł, mówiąc, że musi naprawić jakiś płot w Houston. Dodał jeszcze, że w czwartek będzie czekał w sądzie „na uroczystość”. Westchnęła. Unikał słowa „ślub”. Nie mógł jaśniej dać do zrozumienia, jak bardzo gardzi całym przedsięwzięciem. Dziś w sądzie był ponury, bez cienia uśmiechu. Jedynie gdy rozmawiał z urzędnikiem, udawał szczęśliwego narzeczonego.

Jen spojrzała na siebie w lustrze. Cienie pod oczami były jedynym dowodem, że niedawno płakała, natomiast strój prezentował się doskonale. Żakiet ozdobiony był wysokim kołnierzem z delikatnej koronki. Zgodnie z tradycją miała też na sobie coś starego. Były to kolczyki, które odziedziczyła po ukochanej babci. Z kieszonki żakietu wystawała jedwabna chusteczka. Niebieska, zgodnie z tradycją. Niestety, nie miała na sobie nic pożyczonego i na razie nie wpadła na pomysł, co pożyczyć i od kogo. Zadzwoiła do Ruthie, lecz jej była asystentka nie mogła przyjechać. Dzieci miały wietrzną ospę, a mąż wyjechał w interesach. Gdy usłyszała, że Jen wychodzi za Cole'a, wybuchnęła niepoohamowanym

śmiechem. Nie uspokoiło jej nawet tłumaczenie, że to tylko chwilowy związek. Jen spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Może to wszystko na niby, ale przynajmniej wyglądam jak panna młoda, pomyślała z ironią. Dziś wieczorem, po rozmowie z Barringerem, Cole Noone wyjedzie i na tym zakończy się zabawa w małżeństwo. Nagle zadźwięczał dzwonek u drzwi. Jen podskoczyła zaskoczona. Nie miała pojęcia, kto mógłby to być. Wyszła z sypialni i zbiegła po schodach. Zerknęła na zegarek. Dochodziła dziesiąta trzydzieści. Jeśli miała zdążyć na jedenastą, powinna już wychodzić. Po drodze chwyciła jeszcze torebkę. Nie miała zamiaru z nikim teraz rozmawiać. Szeroko otworzyła drzwi.

- Przykro mi - zaczęła - ale bardzo się spieszę... Przed domem stał Cole. Miał na sobie jedwabną, ciemnozieloną marynarkę, białą koszulkę i nowiutkie dżinsy. Wyglądał elegancko i seksownie. Nie spodziewała się ujrzeć go kiedykolwiek w marynarce, a już na pewno nie w jedwabnej. Oczywiście, gdyby to od niej zależało, wołałaby, żeby wystąpił w smokingu.

- Już jesteś gotowa? - zapytał poważnym tonem. - Myślałem, że będę musiał czekać.

- Właśnie miałam wychodzić. Mieliśmy się spotkać w sądzie.

Przyglądał się jej tak uważnie, że poczuła się jak eksponat na wystawie.

- Zostało niewiele czasu. Jeśli mamy zdążyć na kolację, musimy ruszyć do Dallas zaraz po wyjściu z sądu. Samochodem jedzie się co najmniej sześć godzin.

- Może pojedziemy tym, który wynajęłam w agencji? Walizka jest już na tylnym siedzeniu. Pokręcił przecząco głową.

- Po co dopłacać za tyle kilometrów? Zabiorę twoją walizkę i pojedziemy moim. Ktoś z agencji odbierze wóz.

Jen skinęła głową i zamknęła drzwi na klucz.

Do Corpus Christi jechali w absolutnej ciszy. Chociaż Jen patrzyła przez okno na palmy, piaszczyste wydmy i odległą plażę, myślała wyłącznie o siedzącym obok mężczyźnie.

Zerknęła na wnętrze samochodu. Eleganckie wykończenie, skórzana tapicerka i kosztowny sprzęt radiowy świadczyły, że ten ubogi kawaler wydał wszystkie oszczędności na luksusową zabawę dla dużych chłopców.

Podróż minęła szybko i wkrótce zatrzymali się przed budynkiem sądu z charakterystycznymi, ośmiokątnymi oknami. Cole wysiadł, żeby otworzyć jej drzwi.

Zauważyła połyskujący łańcuszek od kieszonkowego zegarka.

- Mam prośbę - powiedziała, wskazując na łańcuszek. - Czy mógłbyś mi to pożyczyć?

Założę na rękę jak bransoletkę.

- Chcesz nosić mój kieszonkowy zegarek? - zdziwił się szczerze.

- Tylko łańcuszek. Wiesz, że na ślubie trzeba mieć

coś starego, nowego, niebieskiego i pożyczonego. Mam wszystko oprócz pożyczonego. Chciałam wziąć coś z domu na plaży, ale jedyna rzecz, która wyglądała wystarczająco dystyngowanie to srebrna taca. Właściwie mogłabym powiesić ją sobie na szyi... Pożycz mi łańcuszek. Przecież ci go nie ukradnę - dodała zirytowana, widząc, że Cole ociąga się z decyzją.

- Zgoda - powiedział wreszcie i odpiął złoty zegarek. Jen okręciła łańcuszek wokół przegubu.

Punktualnie o jedenastej Jen i Cole zjawili się w niewielkiej sądowej salce. Byli sami. Zgodnie z prawem stanu Teksas do ceremonii ślubnej nie potrzebowali świadków. Cole stał milczący i zamyślony z rękami skrzyżowanymi na piersi. Jen też się nie odzywała.

Najpierw rozejrzała się po sali, zerknęła na dostojnie wyglądający stół sędziowski, skórzane fotele ławy przysięgłych. Potem, jakby wbrew swej woli, spojrzała na Cole'a. Prezentował się wspaniale. Wysoki, opalony, brwi ściągnięte nad wyrazistymi oczami. Wyglądał jak model, który nie może się doczekać końca sesji zdjęciowej.

Drzwi na zapleczu stuknęły lekko. Wkroczył sędzia, chudy, wąsaty, w rozwianej todze. Uśmiechnął się, przywitał i gestem poprosił, żeby podeszli bliżej. Otworzył książkę oprawną w skórę i z namaszczeniem zaczął czytać. Jen miała ochotę głośno krzyknąć słowa uroczystej przysięgi, jednak powtarzała cicho, jak zawstydzona panna młoda. Cole również wczuł się w atmosferę i mówił przyciszonym głosem, choć błysk w oczach

świadczył, że był bardzo przejęty. Ujął dłoń Jen i wsunął na palec obrączkę z brylantem. Całkiem zapomniała, że powinna przypomnieć Cole'owi o obrączce. Zdziwiła się, że pamiętał. Kamień wyglądał jak prawdziwy, trzykaratowy brylant. Pomyślała, że nawet taka imitacja musiała go dużo kosztować. Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Przyszła jej kolej. Sięgnęła do kieszonki i wyjęła obrączkę z osiemnastokaratowego złota. Drżącą ręką ujęła dłoń Cole'a, by wsunąć mu krążek na palec. Urzędnik w tożże skinął głową i z uśmiechem kontynuował uroczystość. Jen dotknęła obrączki, walcząc ze wzruszeniem. Cole zrobił to, o co go prosiłaś. Nie kocha cię. Musisz się z tym pogodzić. Załatw ten cholerny awans i zajmij się swoimi sprawami, powtarzała w myślach.

- Możesz pocałować pannę młodą - powiedział urzędnik.

Jen była zbyt przejęta, żeby zwrócić uwagę na jego słowa, a ich znaczenie dotarło do niej dopiero wtedy, gdy Cole objął jej ramiona.

Wiele razy marzyła o takiej chwili. Uniosła głowę. Pocałował ją najpierw bardzo delikatnie, potem z coraz większą namiętnością. Przez chwilę zastanawiała się, czy jego namiętność była prawdziwa, czy tylko bawił się z nią. Jednak szybko dała się ponieść nastrojowi chwili. Wsunęła ręce pod marynarkę i mocno objęła go w pasie. Jak każda panna młoda chciała być jak najbli-

żej świeżo poślubionego męża. Pomyślała, że nawet jeśli już nigdy nie będzie w jego ramionach, tę chwilę zapamięta na zawsze.

Przywarła do niego całym ciałem. Nie mogła się pohamować. Jednak Cole po chwili odsunął ją od siebie. Zaskoczona spojrzała mu w oczy. Ku jej zdumieniu, było w nich widać cierpienie.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Do Dallas jechali w ciszy. Jen nie mogła zapomnieć smutku na twarzy Cole'a w chwili, która powinna być radosnym wspomnieniem na całe życie.

Teraz szybko jechał autostradą. Wydawał się całkowicie pochłonięty kierowaniem. Około trzeciej po południu nie mogła już dłużej znieść złowrogiej ciszy. Cole chyba też miał dość.

- Chcesz się zatrzymać, żeby coś zjeść? - spytał. Przez cały dzień nie miała czasu, żeby o tym pomyśleć, a do kolacji z panem Barringerem zostało jeszcze kilka godzin. Jednak pokręciła przecząco głową. Była zbyt spięta i zdenerwowana, żeby cokolwiek przełknąć.

- Nie, dziękuję, ale jeśli jesteś głodny, to zatrzymajmy się - powiedziała i spojrzała na przegub. - Dziękuję za łańcuszek - dodała, rozpinając go.

- Drobiazg - odparł oficjalnym tonem, wyciągając po niego rękę.

Pomyślała, że tak naprawdę Cole jej nie lubi. Nie powinna mieć o to pretensji. Mimo wszystko była mu wdzięczna za pomoc.

- Słuchaj, Cole - zaczęła. - Pamiętam, że nie chcesz podziękowań, ale...
- Jennifer!
- Daj mi skończyć. Jestem ci wdzięczna, czy ci się to podoba, czy nie. Jeśli mogłabym ci się zrewanżować w jakiś sposób, nie zastanawiaj się i dzwoń. Jeśli będziesz potrzebował pracy, chętnie polecę cię znajomym. Oprócz tego będę płacić za ciebie podatki przez najbliższe dwa lata.
- Nie obiecuj niczego pochopnie.
- A ty nie bądź uparty. Czy jest w tym coś złego?
- Dzisiaj masz spotkanie z Barringerem. Skąd wiesz, że cię nie skompromituję?
- O to się nie boję - odpowiedziała z uśmiechem. Nie mogła uwierzyć, że niepokoiło go coś takiego.
Jesteś głupia, pomyślała. Zakochałaś się bez sensu, a on w to nie może uwierzyć. Gdyby zdarzył się cud i Cole poczekał z rozwodem, nasze małżeństwo miałoby szansę...
Za wszelką cenę szukała jakiegoś wyjścia.
- Jesteś elegancki, dowcipny, masz maniery nie gorsze niż inni. Mam do ciebie całkowite zaufanie.
- Kochanie, twoja wiara we mnie jest wzruszająca.
Cole zaparkował przed restauracją „Trinity River”. Był zły na siebie. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego zainteresował się kobietą, która wyszła za mąż dla kariery. Od lat obiecywał sobie, że nie powtórzy błędu swojego

ojca. A teraz proszę: ożenił się z kobietą, która traktuje go jak brakujące ogniwo między małpą a człowiekiem. Najdziwniejsze, że zgodził się na taki układ. Co w niego wstąpiło? Zakochałeś się, idioto! - zrozumiał wreszcie.

Wcale nie planował, że po nią pojedzie. Umówili się inaczej, ale nagle stwierdził, że musi ją natychmiast zobaczyć. Kiedy się zjawił, wyglądała prześlicznie. Prawdziwa panna młoda, odpowiednio zdenerwowana i przejęta. Z trudem się opanował, żeby nie chwycić jej w ramiona. Potem w sądzie potraktował uroczystość zupełnie na serio. Przysięgę powtarzał z przekonaniem.

Teraz czekała go rozmowa w restauracji. Najgłupsze przedstawienie, w jakim kiedykolwiek brał udział. Jen na pewno będzie zła, ale przynajmniej wszystko się wyjaśni.

- Cole? Nie wiem, czy wpuszczą cię bez krawata. Spojrzał na nią, a potem podał kluczyki portierowi

w eleganckim uniformie.

- Przekonajmy się.

Restauracja „Trinity River” była jego własnością. Jen nie mogła o tym wiedzieć.

Odźwierny uśmiechnął się i skinął głową z szacunkiem. Jen pozwoliła Cole'owi, żeby ujął ją pod rękę. Wspięli się na marmurowe schody i minęli oszklone drzwi. Jen pierwsza podeszła do kierownika sali.

- Jesteśmy umówieni z panem Barringerem -oświadczyła. Elegancki mężczyzna w smokingu spo-

jrzał badawczo w stronę Cole'a i z respektem skinął głową. Cole zmarszczył brwi i pokręcił przecząco głową. Tamten zrozumiał od razu.

- Oczywiście, bardzo proszę - powiedział. - Kelner państwa zaprowadzi. - A kiedy Cole przechodził obok, dodał: - Cieszę się, że znów pana widzę.

Jen odwróciła się.

- Co powiedział?

- Życzy nam smacznego - skłamał Cole.

Była zbyt przejęta, żeby się nad tym zastanawiać.

Kelner zaprowadził ich do stolika w zacisznym kącie, gdzie Cole przeprowadzał poprzednie rozmowy. Zapalił świecę i z szacunkiem skinął głową.

- Czy podać państwu jakiś napój? - zaproponował.

- Tylko czarną kawę - poprosiła Jen.

- Dla mnie też - powiedział Cole. Kelner skinął głową i odszedł.

Cole zerknął na Jen. Rozglądała się roztargnionym wzrokiem. Był pewien, że nie zwróciła uwagi na luksusowe wnętrza, przyćmione kandelabry, błyszczącą, marmurową podłogę i obrazy wiszące na ścianach. Dyskretne dźwięki klasycznej muzyki tworzyły nastrojowe tło do rozmów.

- Myślałam, że będzie na nas czekał - powiedziała i uśmiechnęła się do męża. - Nie bądź taki ponury. - Uścisnęła jego dłoń. - Jesteś absolutnie... - Przerwała onieśmielona. -

Chciałam powiedzieć, że mam dobre przeczucia. Podjęłam właściwą decyzję.

Nie wiedział, co ma znaczyć ta uwaga. Spodziewał się raczej pouczeń, żeby nie jeść palcami, nie pluć na podłogę i wycierać nos w chusteczkę.

Jen zaczynała się niecierpliwić. Znow rozejrzała się po sali. Uwolniła jego dłoń i spojrzała na zegarek.

- Za dwie siódma. Przyszliśmy odrobinę za wcześnie. - Spojrzała na Cole'a i natychmiast się uśmiechnęła. Jego obecność dodawała jej odwagi. Natomiast on poczuł się nieswojo, jakby za chwilę miał ją zdradzić.

Kelner zjawił się z dzbankiem kawy i napełnił filiżanki, a po krótkiej chwili wrócił z wodą i wlał ją do kryształowych kielichów. Skłonił się i podał oprawne w skórę menu.

- Proszę pani, panie Barringer, czy zechcą państwo sprawdzić, co dziś poleca szef kuchni? Stało się. Koniec przedstawienia. Prawda wyszła na jaw cicho i spokojnie. Cole odprawił kelnera i czekał na reakcję Jen. Nie spuszczał wzroku z jej twarzy. Przestała się uśmiechać. Spojrzała za odchodzącym kelnerem, potem na stół. Wreszcie zauważyła, że są tylko dwa nakrycia. Nikt więcej nie był przewidziany.

Przez dłuższą chwilę siedziała bez ruchu. Milczała. Patrzyła wzrokiem przerażonej sarny. •

- To ty? - szepnęła w końcu.

Cole doskonale rozumiał, w jak niezręcznej sytuacji się znalazła. Współczuł jej. Miał ochotę przytulić ją i pocieszyć, jednak postanowił być jak głaz.

- Stary dureń - powiedział i skinął głową. - Do usług.

Uniosła dłoń i wskazała na niego z niedowierzaniem.

- To ty jesteś J.C. Barringer?

- Zdumiewający zbieg okoliczności, prawda? - odpowiedział.

- Ale jak... Dlaczego? - szepnęła. Mimo świeżej opalenizny widać było, że zbladła.

Spodziewał się ataku złości, ale nic takiego nie nastąpiło.

- Dom na plaży należy do mnie. Jest do dyspozycji pracowników korporacji przez cały rok oprócz czerwca. To mój miesiąc. Udostępniono ci go przez pomyłkę.

- Dlaczego nic nie powiedziałeś?

Trudno mu było odpowiedzieć na to pytanie. Pomyślał, że wstyd się przyznać, ale chyba głównie z powodu jej ogromnych, zielonych oczu i zmysłowych warg. Zamiast powiedzieć prawdę, zdecydował się na kłamstwo, w które od początku sam próbował uwierzyć.

- To miała być próba. Chciałem się przekonać, jaka jest najpoważniejsza kandydatka na stanowisko prezesa.

- Pozwoliłeś, żebym zrobiła z siebie idiotkę i świetnie się przy tym bawiłeś! - zawołała.

Cóż, wybuch słusznego gniewu musiał w końcu nastąpić. - Pozwoliłeś, żebym się wygłupiła i szukała męża, bo chciałam zrobić lepsze wrażenie... na tobie! - Usta drżały jej ze zdenerwowania. Zdziwiło go, że jest bardziej zrozpaczona i załamana niż wściekła.

- Mówiłem ci, co o tym myślę - próbował wyjaśnić.

- Nie wierzę w żadne twoje słowo - oświadczyła.

Udawał przez całą ceremonię ślubną i tego najbardziej nie mogła mu darować. Zaciśnęła pięści. Pojedyncza łza spłynęła jej po policzku. - Dlaczego... - Nie była w stanie mówić dalej.

Cole'owi zadrżały ręce. Spodziewał się, że poczuje się oszukana i oczekiwał ataku furii, lecz nie przewidział takiego smutku. Nigdy jeszcze nie było mu tak przykro jak w chwili, gdy spostrzegł tę samotną łzę. Chciało mu się wyć. Zakochał się w Jen i nie miał zamiaru ani siły, żeby z tym walczyć.

- Dlaczego zdecydowałem się na ślub? - dokończył za nią. Nie miał w zanadrzu żadnej gotowej odpowiedzi. Był normalnym człowiekiem i po prostu zakochał się.

- Cóż, chciałem ci udowodnić, że polowanie na męża było zbyt ciężkie i głupie - skłamał bez zająknięcia. Nic innego nie przyszło mu do głowy. - Panno Sancroft - dodał poważnym tonem - obejmie pani stanowisko prezesa.

Zdziwiona otworzyła usta.

- Na... naprawdę? - upewniła się drżącym głosem.

- Dostanę ten awans? Westchnął ciężko i skinął głową.

- Miałaś najlepsze kwalifikacje. Poszukiwania męża nie mają z tym nic wspólnego.

- Ale jeśli ty jesteś... - Przerwała. Wróciła na chwilę do twardej rzeczywistości. - Ludzie pomyślą, że dostałam to stanowisko, bo wyszłam za szefa.

Z trudem patrzył jej prosto w oczy. Miał wyrzuty sumienia. Zmusił się do surowego tonu.

- Tym się nie przejmuj. Dasz sobie radę.

Nie do końca wszystko do niej dotarło. Miała minę, jakby ktoś uderzył ją w twarz. Robiła wrażenie osoby z wysoką gorączką. Natomiast nim targały sprzeczne uczucia. Obawiał się, że nie wytrzyma i za chwilę weźmie ją w ramiona. Nadal usiłował być twardy.

- Masz wymarzoną pracę i nie musisz uzależniać swojej przyszłości od małżeństwa pozbawionego uczuć. Powinnaś być zadowolona.

- Powinnam... ? - Pociągnęła nosem. Znów zbierało się jej na płacz. - Pewnie ty byś był - powiedziała cicho i żałośnie.

Czuł się jak marny robak, choć nie powinien. Okłamał ją, to prawda, ale dał jej pracę, o jakiej marzyła. Dlaczego nie tańczyła z radości, tylko zalewała się łzami rozpacz? O co w tym wszystkim chodziło?

Udał obojętność. Wstał, opierając dłonie na stole. Musiał natychmiast wyjść. Czuł, że w przeciwnym wypadku przytuli ją do siebie, pocałuje drżące usta i będzie błagał, żeby spędziła z nim całe życie.

- Gratuluję awansu - powiedział, wyciągając portfel. Wyjął garść banknotów i położył na nich żeton z parkingu. - Weź samochód, kochanie. Ja pojedę taksówką. Miłej kolacji.

Cieężko na nią zapracowałaś.

Objęła się ramionami, jakby nagle zrobiło się jej chłodno. Drżąc, patrzyła w przestrzeń, a łzy spłynęły jej po policzkach. Cole pomyślał, że zasłużyła na to, by cierpieć. Ostatecznie zaplanowała całą intrygę łącznie

z fikcyjnym małżeństwem. Wszystko po to, żeby oszukać „starego durnia”. A teraz musi jej wyjaśnić, w jakiej sytuacji prawnej się znalazła na skutek tej całej intrygi. Jednak nie był w stanie dłużej patrzeć na to, co się z nią działo.

- Jennifer, spróbuj wziąć się w garść - powiedział uspokajającym tonem. - Niczego nie tracisz, a wiele zyskujesz.

Zdziwiona spojrzała na niego przez łzy.

- Co do fałszywego nazwiska - mówił dalej - Teksas to nadal Dziki Zachód w sprawach małżeństw. Wziąłem z tobą ślub jako Cole Noone, ale zgodnie z tutejszym prawem jesteśmy małżeństwem jako państwo Barringer. Połowa wszystkiego, co zarobię od dnia ślubu, należy do ciebie. Ponieważ to ja wystąpiłem pod fałszywym nazwiskiem, natomiast ty wzięłaś ślub w dobrej wierze, masz prawo do decyzji, czy chcesz pozostać moją żoną, czy też zażadasz unieważnienia małżeństwa - wyjaśnił beznamiętnym głosem.

Patrząc na nią, z trudem udawał obojętność. Teraz wszystko zależało od Jen. Mógł tylko czekać na jej decyzję. Wstał, skłonił się i wyszedł z sali.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

W chwili gdy Cole wyszedł z restauracji, Jen kompletnie się załamała. Ożenił się z nią, bo go o to prosiła, i dał jej wymarzoną pracę, a ona czuła się oszukana i porzucona. Zostawił jej możliwość wycofania się z tego związku. Nikt by się nawet o tym nie dowiedział. Mimo że osiągnęła wszystko, do czego tak uparcie dążyła, miotała się jak w pułapce.

Zakochałaś się, a on cię oszukał. Bądź wdzięczna za awans, unieważnij małżeństwo i zajmij się pracą! - powtarzała sobie.

W poniedziałek rano, niewyspana i zmęczona, zmusiła się, żeby pójść do firmy. Obawiała się, że Cole zjawi się osobiście, żeby poinformować o jej nominacji. Miała rację. Przyszedł tuż po niej, przystojny, w klasycznym granatowym garniturze. Ani wyglądem, ani sposobem bycia nie przypominał majstra Noone'a. Stał przed zebranymi pracownikami i żartem rozładował napiętą atmosferę oczekiwania. Ogłosił swoją decyzję i oficjalnym tonem pogratulował Jen awansu. Serce jej waliło, była bardzo przejęta i wydawało jej się, że za chwilę zemdleje. Jakimś cudem udało jej się przetrwać

do końca krótkiej uroczystości, a nawet zdobyła się na wygłoszenie podziękowania. Na koniec Cole zaskoczył wszystkich. Oświadczył, że przez jakiś czas osobiście będzie zajmował się firmą. Wybrał gabinet tuż obok niej. Nie było sposobu, żeby uniknąć z nim kontaktu wielokrotnie w ciągu dnia. Nie mogła przestać o nim myśleć, chociaż za wszelką cenę starała się zapomnieć o tym, co się stało. Jego ciągła obecność stała się dla niej torturą. Znowu musiała być obok szefa, który ją zdradził. Tyle że Cole nie zachowywał się tak, jak kiedyś Tony i wcale nie próbował jej uwodzić. Zachowywał się oficjalnie i spoglądał chłodno.

Jen udało się zachować w tajemnicy osobiste sprawy. Nie wspominała o ślubie i nikt nie wiedział, że została panią Barringer. Cole również milczał na ten temat. Tak minął tydzień. Jen znosiła tę sytuację coraz gorzej. Uczestniczyła w zebraniach, na których on też był obecny. Gdy znajdował się przy niej, nie była w stanie powiedzieć sensownego zdania. Normalnie funkcjonowała dopiero wtedy, gdy zniknął z firmy. Wreszcie zaczęła wprowadzać zmiany, które już dawno zaplanowała. Zorganizowała opiekę dla dzieci, których rodzice pracowali w firmie oraz usprawniła pracę działu odpowiedzialnego za bezpośrednie kontakty z klientami.

W piątek wieczorem po długim, męczącym dniu znalazła się wreszcie w domu. Położyła się na sofie, czując nadchodzący ból głowy. Nie miała siły ani ochoty, żeby cokolwiek jeść. Nie zajęła się sprawą unieważnienia

małżeństwa. Nie potrafiła się zmusić, żeby to zrobić, choć z każdym dniem wzrastało niebezpieczeństwo, że ktoś odkryje tajemnicę. Co gorsza, Cole na pewno był coraz bardziej przekonany, że chciała dla siebie znacznie więcej: już nie tylko prezesurę, ale jeszcze jego pozycję i majątek.

W rzeczywistości zależało jej tylko na Cole'u. Jednak nie miała pojęcia, jak go o tym przekonać. Spojrzała na obrączkę. Dlaczego wciąż ją noszę? - zapytała się w duchu. Doskonale знаła odpowiedź: chciała pozostać jego żoną. Natomiast, dlaczego Cole nadal nosił obrączkę, pozostawało dla niej zagadką.

Zadzwoił telefon.

- Słucham?

- Mówi mama.

- Cześć, co słychać? - spytała, przecierając oczy.

- Wracam do szkoły. Pomyślałam, że powinnam ci o tym powiedzieć.

- Do szkoły? Nie rozumiem.

- Twój ojciec w sierpniu idzie na emeryturę. Nie będę mu już potrzebna na uczelni. Chcę studiować psychologię kliniczną.

- Słucham? - Jen szybko oprzytomniała i usiadła. - Po co ci to? Przecież robiłaś karierę naukową.

- Jaką karierę? - roześmiała się. - Pomagałam tylko twojemu ojcu. Kocham go i chciałam, żeby zaszedł jak najwyżej. Jednak naprawdę interesuje mnie psychologia.

Jen zaniemówiła na dłuższą chwilę. Jeszcze nigdy nie słyszała, żeby matka przyznała, że kocha ojca.

- Naprawdę?

- Uważasz, że nie będę dobrym psychologiem?

- Tak, jasne. Miałam na myśli coś innego: naprawdę kochasz tatę?

- Dziwne pytanie. Oczywiście.

- Cóż, teraz tak, ale gdy braliście ślub?

- Jennifer, co ty pleciesz?

- Łączą was wspólne zainteresowania, ale nigdy nie widziałam, żebyście choćby trzymali się za ręce. Myślałam, że wzięliście ślub z rozsądku, a nie z namiętności.

- Mówisz dziwne rzeczy. Uważasz, że skąd się wzięłaś? Z warzywniaka, z półki z napisem: świeżutkie, ledwie co narodzone?

- Nie, ja tylko... - Przerwała i pokręciła głową. Przez chwilę trwała cisza.

- Jennifer, zdaję sobie sprawę, że kochasz przede wszystkim swoją pracę. Jeśli jednak myślisz o małżeństwie, bo poznałaś kogoś, kto należy do tej samej partii, albo jak ty lubi muzykę Debussy'ego, to jako kochająca matka muszę ci powiedzieć: puknij się w głowę, głuptasie. Na tym nie zbuduje się udanego związku.

- Nie, mam... - Znowu przerwała. Podobne uwagi słyszała już od Cole'a i nie miała ochoty słuchać ich kolejny raz. - Nie mam takich planów.

Dobrze się stało, że nie powiedziała rodzicom o polowaniu na męża. Szczególnie teraz, gdy misterny plan,

który miał doprowadzić do znalezienia najodpowiedniejszego partnera, kompletnie nie wypalił. Na szczęście rodzice nie wiedzieli o małżeństwie z Cole'em. Wyobraziła sobie zaproszenie:

Kochani rodzice, zapraszam na ślub. Co prawda przyszły mąż mnie nie lubi, ale go namówiłam. Zgodził się zrobić mi przysługę. Niedługo się rozwiedziemy.

- Jennie, wszystko w porządku?

Wzięła głęboki oddech. Nic nie było w porządku.

- Mówiłam ci, że awansowałam? Zostałam prezesem firmy.

- Wspaniała nowina. Gratuluję. Już dawno na to zasłużyłaś. Tylko jakoś nie słyszę, żebyś się cieszyła.

Jen skrzywiła się. Mama była dobrym psychologiem nawet bez odpowiednich studiów.

- Sprawa jest trochę skomplikowana - zaczęła. Miała ochotę się zwierzyć, ale wstydziła się przyznać do kolejnych głupstw. - Co byś zrobiła, gdybyś kogoś kochała i wzięła z nim ślub, wiedząc, że to tylko na krótko i że on cię nie kocha i powiedziałaabyś mu, że go kochasz, a on by nie uwierzył, bo myślałby, że robisz to tylko dla pieniędzy? No, co byś zrobiła?

W słuchawce zaległa cisza.

- Mamo, jesteś tam? - spytała zniecierpliwiona.

- Tak, Jennifer. Próbowałam zrozumieć. Jednak myślę, że nim udzielię odpowiedzi, muszę najpierw postu-

diować psychologię. To nie chodzi o ciebie, prawda?

- upewniła się.

Do diabła, dlaczego nie trzymałam gęby na kłódkę?

- pomyślała Jen.

- Nie, to przyjaciółka palnęła głupstwo - skłamała.

- Oj, palnęła. Słuchaj, Jennie, jak już będziesz wiedzieć, co postanowiła ta przyjaciółka, zadzwoń do mnie. Może do tego czasu wymyślę jakieś rozwiązanie.

- Oczywiście.

Rozmowa z matką nie przyniosła ulgi. Jen dopiero teraz zrozumiała, że jej rodzice nie byli najlepszym przykładem małżeństwa z rozsądku. Po prostu kochali się, nie okazując tego wszem i wobec. Nie zdawała sobie z tego sprawy. Starając się ich naśladować, popełniła błąd: w planach własnego małżeństwa nie uwzględniła uczuć. Doszła do wniosku, że Cole jednak miał rację. Chciała podporządkować własnej karierze także życie przyszłego partnera. Postępowała egoistycznie i naiwnie. Cole uratował ją przed nią samą. Ożenił się z nią, ale nie miał zamiaru zmuszać jej do niczego. Prześladowały ją jego słowa: „Masz prawo do decyzji, czy chcesz pozostać moją żoną, czy też zażadasz unieważnienia małżeństwa”.

Od ślubu minęło półtora tygodnia. Cole wziął wolne popołudnie, żeby pojechać do zarządu korporacji. Miał wiele do załatwienia, a przy okazji chciał przemyśleć pewne sprawy z dala od żony.

Ruthie Tuttle, dawna asystentka Jen, była przez ostatni tydzień na seminarium w Houston. Jeszcze nie wiedziała, że jej nowym szefem jest Cole Noone, majster znad morza. Wiedziała tylko, że nowemu pracodawcy właśnie kończy się miesięczny urlop. To z jego polecenia Ruthie dostała nagle wspaniałą propozycję pracy. Cole postąpił złośliwie wobec Jen, ale naprawdę był wtedy na nią wściekły. Za jednym zamachem zdobył przebojową asystentkę i ułatwił sobie kontakt z Jen. Nie mógł się doczekać miny Ruthie i jej donośnego śmiechu, gdy się dowie, że teraz on jest jej szefem. Niestety, było to jedyne radosne przeżycie, jakie go czekało.

Jego prawnik, Mike Byrne, właśnie wrócił po sześciu tygodniach z Europy. Cole przyznał mu się, że ożenił się w niekonwencjonalnych okolicznościach.

- Barringer, co cię opętało? - spytał Mike, krążąc po pokoju. - Byłeś pijany czy oszalałeś z miłości?

Cole oparł się o biurko. Milczał.

- Boże! - Prawnik aż poczerwieniał ze złości. - Nie wierzę! Na dodatek pod fałszywym nazwiskiem! Teraz ona ma cię w ręku. Przez dziesięć dni małżeństwa już zgarnęła małą fortunę. Wiesz, ile ostatnio zarabiasz na samych akcjach?

- Oczywiście - mruknął Cole.

- Nigdy bym nie pomyślał, że zrobisz takie głupstwo. Trzeba było mnie zapytać. Ten ślub był zupełnie niepotrzebny. Mogłeś zamieszkać z tą dziewczyną i nazywać ją

swoją żoną. I tak zgodnie z prawem Teksasu konkubinaty jest traktowany jak pełnoprawne małżeństwo.

- Chciała, żeby było uroczyście - wyjaśnił Cole, wzruszając ramionami.

- A fałszywe nazwisko?

- Nie chciałem, żeby wiedziała, kim jestem naprawdę. Mike zaklął pod nosem.

- To całkiem logiczne. Po co żona ma wiedzieć, kim jest jej mąż? A tak przy okazji: skąd wzięłaś fałszywe dokumenty?

Cole uniósł brwi.

- Powiedzmy, że mam życzliwych przyjaciół. Mike zacisnął pięści.

- Jesteś niepoczytalny. Sam kopiesz sobie grób. Po co ci takie ryzyko?

Zaległa cisza, którą wreszcie przerwał Cole:

- Zaryzykowałbym o wiele więcej.

Bał się znaleźć w takiej sytuacji jak ojciec. Nie chciał, by usidliła i wykorzystała go kobieta, która myśli tylko o własnych korzyściach. Dał Jennifer Sancroft więcej, niż mogła marzyć, bo poza prezesurą otrzymała jego nazwisko. Ale na tym koniec, nie wykona już żadnego ruchu. Będzie tylko czekał i obserwował. Teraz wszystko zależało od jej decyzji.

- Zwariowałaś - oświadczył Mike zrezygnowanym tonem.

- Możliwe, ale muszę wiedzieć, co ona teraz robi.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Od chwili gdy Jen poznała Cole'a, upłynął miesiąc. W pracy ciągle go spotykała i za każdym razem było to bolesne przeżycie. Mimo to ociągała się z anulowaniem małżeństwa. W piątek wieczorem, dokładnie dwa tygodnie i jeden dzień od ślubu, zebrała się wreszcie na odwagę i pojechała do apartamentu Cole'a. Miała zamiar podziękować mu za to, że uratował ją przed bezsensownym małżeństwem z przypadkowym kandydatem. Sympatyczny służący powitał ją w progu i wprowadził do luksusowo urządzonego pokoju. Wnętrze przyjemnie pachniało drewnem cedrowym i skórą. Była zbyt przejęta, żeby usiąść. Stała przed szerokim oknem, z którego rozciągał się widok na panoramę Dallas. Przymknęła oczy i oparła czoło o chłodną szybę. Ostatnio wszystko przypominało jej Cole'a, nawet muzyka płynąca z radia. Męczyła ją prawdziwa obsesja na punkcie człowieka, który ożenił się z nią tylko dlatego, żeby dać jej nauczkę.

- Czyżby zjawiała się moja żona? - usłyszała za plecami jego głos.

Odwróciła się szybko. Cole kolejny raz silił się na

złośliwy ton. Był w smokingu. Pewnie wybierał się na oficjalne spotkanie, a może na randkę? W lnianych spodniach i jedwabnej bluzce czuła się bardzo skromnie w porównaniu z nim. Zerknęła na jego dłoń. Na palcu nadal lśniła ślubna obrączka. Spojrzał na nią niechętnie, z zaciśniętymi ustami. Podszedł bliżej, wyciągając rękę.

- Dobry wieczór. Nie spodziewałem się, że dziś się zobaczymy. Czy mógłbym jeszcze w czymś pomóc?

Zachowywał się oficjalnie i na dystans, jakby była obcą osobą, która zbiera datki na dobroczynność. Dotknęło ją to do żywego. Mam ci oddać nóż, który mi wbijasz w serce, czy mam z nim odejść? - pomyślała.

Przez chwilę nie była w stanie się odezwać. Stał z poważną miną i wyciągniętą ręką.

Czekał na oficjalny uścisk dłoni. Jednak ręce za bardzo jej się trzęsły, żeby odwzajemnić ten gest. Zaciśnęła pięści i za wszelką cenę starała się zachować spokój.

- Cole, czasem jestem tak pochłonięta dążeniem do celu, że zapominam o rzeczywistości - powiedziała.

Zmarszczył brwi. Nie spodziewał się, że nie poda mu ręki, ani że otwarcie będzie mówić o tym, co jej leży na sercu.

- Rozumiem. Czy to wszystko? Pokręciła głową.

- Nie. Próbuję wyjaśnić, że zwykle determinacja i entuzjazm przynosiły mi sukcesy w biznesie. Jednak

ostatnio przesadziłam z tą taktyką i chciałam cię za to przeprosić.

Przyglądał jej się przez chwilę.

- Panno Sancroft, przepraszam, pani Barringer, szukanie męża nie ma nic wspólnego z taktyką w biznesie.

No cóż, ta uwaga dotycząca nazwiska miała dać jej do zrozumienia, że czas anulować małżeństwo. Był to kolejny temat, który chciała omówić. Nie odważyła się jednak. Bała się, że zostanie wyśmiana.

- Przyjmuję przeprosiny - powiedział, spoglądając na zegarek.

A więc kolejna czytelna aluzja... Jen poczuła, że za chwilę popłyną jej łzy.

- Spieszysz się...

- Tak. Czy jeszcze coś chciałaś mi powiedzieć? Kocham cię! Czy naprawdę nic ci się we mnie nie

podoba? - miała ochotę zawołać. Jednak opanowała się. Nie mogła zmusić do miłości człowieka, który jej nie znosił.

Pokręciła głową.

- Nie, już nic.

- W takim razie idę. Richard odprowadzi cię do drzwi.

- Wolałam cię jako Noone'a! - zawołała zdesperowana.

Spojrzał na nią bez słowa. Po chwili odwrócił się i zniknął za drzwiami.

Stała zamyślona. Żałowała, że podniosła głos. Prze-

cięż przyszła z nadzieją, że ich związek można uratować. Cóż, przynajmniej wykrzyczała prawdę. Oddałyby wiele, żeby wróciły te chwile, kiedy zaskakiwał ją propozycją mrożonej herbaty, troszczył się, żeby odpoczęła i coś zjadła. Chętnie znów usiadłaby na plaży w jego towarzystwie.

Ktoś chrząknął za jej plecami. Odwróciła się. Służący stał w drzwiach. Otarła łzy i poszła za nim do wyjścia.

W poniedziałek rano Jen poleciała służbowo do Kalifornii. Nim wyjechała, zdążyła jeszcze skontaktować się z adwokatem. Zleciła mu anulowanie małżeństwa. Nie chciała pieniędzy Cole'a ani nie chciała dłużej znosić jego pogardliwych spojrzeń. Był to jedyny sposób, by udowodnić mu, że nie kierowała nią chciwość.

W piątek zadzwoniła jej nowa sekretarka. Poinformowała, że w czasie weekendu będzie spotkanie kierownictwa w domu na plaży. Jen niechętnie zamieniła bilet na lotnisku. Zamiast do Dallas musiała lecieć do Corpus Christi. W Kalifornii, przewracając się na łóżku w bezsennej noc, doszła do wniosku, że musi znaleźć inną pracę, jak najdalej od Cole'a. Żal jej było odchodzić z firmy, której poświęciła kawałek życia, ale nie mogła dłużej znosić obecnej sytuacji.

Wieczorem, zmęczona ciężkim dniem, podjechała wynajętym samochodem do domu nad zatoką. W środku paliły się jakieś światła, ale gdy zadzwoniła do drzwi, nikt nie wyszedł jej otworzyć. Rozejrzała się. Na podjeździe

nie było innych aut. Pewnie wszyscy pojechali na kolację. Zajrzała do torebki w poszukiwaniu klucza. Na szczęście zapomniała go oddać po powrocie z urlopu. Otworzyła drzwi. Miała trochę czasu dla siebie, nim wrócą pozostali. Niestety, Cole też na pewno będzie, bo tylko on, jako właściciel firmy, miał prawo zażądać od niej udziału w spotkaniu. Postawiła walizkę. Nim zdążyła włączyć światło, wyczuła, że nie jest sama. Z jednego z krzeseł pod oknem wstał mężczyzna. Gwałtownie zamrugła.

- Nie wejdiesz dalej? - spytał. Zaszło jej w gardle.

- To ty, Cole?

- Tak. Chodź tu i siadaj. - Wskazał na sofę.

- Myślałam, że wszyscy pojechali na kolację. A może zjawiłam się za wcześnie?

Starła się mówić oficjalnym tonem, choć przychodziło jej to z trudem. Cole usiadł obok na krześle i zapalił lampę.

- Jesteś punktualnie - uspokoił ją i pochylił się w jej kierunku. - Powiedz, jaka cecha partnera jest dla ciebie najważniejsza?

- Słucham? - spytała zaskoczona. Zacytował jedno z pytań, jakie zadawała kandydatom.

- Chodzi mi o to, czy uważasz, że twój mąż powinien lubić dzieci? Czy powinien umieć gotować? Masz może jakieś hobby? Ile czasu na to poświęcasz? - Spojrzał na nią, unosząc brwi.

Czy to się nigdy nie skończy? - pomyślała. Znow naśmiewał się z niej.

- Po co to robisz? - spytała, rozzłoszczona kolejnym upokorzeniem.

- Zdaje się, że w ten sposób szukałaś partnera na całe życie. , .

- Wiem, że to było głupie. I nie kryłeś się z tą opinią, tylko wręcz przeciwnie, Ale chyba już wystarczy? Nie musisz mnie nadal ośmieszać.

- Gdybyś wiedziała, że to ja jestem Barringer, co byś zrobiła? - spytał, patrząc jej w oczy.

- Pewnie wyjechałabym z tego domu.

- Nie próbowałabyś mnie poderwać? - spytał z niedowierzaniem.

Syknęła z furją. Jak on śmiał?! Tak, okazała się naiwna, szukając męża za pomocą ogłoszenia, nie oznacza to jednak, że była wyrachowana i zepsuta.

- Dostałeś od mojego adwokata dokumenty w sprawie anulowania małżeństwa? Był też dokument, że nie mam żadnych roszczeń majątkowych, prawda? - spytała z niepoohamowaną złością.

Skiął głową.

- Była też twoja obrączka.

- W takim razie, znasz moją odpowiedź. Sięgnął po dużą kopertę, która leżała pod krzesłem,

wyciągnął z niej dokumenty i położył je na kolanach.

- Właściwie, dlaczego chcesz anulować małżeństwo? - spytał.

Zesztywniała. Zupełnie nie spodziewała się takiego pytania. Zastanawiała się, czy powinna wreszcie zdobyć się na odwagę i powiedzieć całą prawdę.

- Nie chcę niczego anulować, ale nie mam innego wyjścia - szepnęła. - Kocham cię. Jednak wreszcie zrozumiałam, że małżeństwo to dwie kochające się osoby. A ty nawet mnie nie lubisz. Nie ufasz mi i nie mam o to pretensji. Zwalniam się z pracy. Muszę odejść jak najdalej, bo codzienne spotkania z tobą są dla mnie zbyt dużym przeżyciem.

Wstała i szybko odwróciła się do wyjścia. Cole zdążył chwycić ją za nadgarstek.

- Jeszcze nie odejdziesz - oświadczył.

- Dlaczego? - zawołała przez łzy. - Czego jeszcze chcesz ode mnie? Za mało mnie upokorzyłeś?

- Proszę, usiądź - powiedział, wskazując gestem na sofę. - Jeszcze tylko jedna sprawa.

Usiadła zrezygnowana. Cole położył dłoń na jej ręce.

- Czekałem na taką odpowiedź.

Spojrzała na jego dłoń. To, co mówił, nie miało sensu.

- Jennifer - delikatnie uścisnął jej rękę. - Spójrz na mnie.

Podniosła wzrok. Uśmiechał się do niej! Żadnej złośliwej miny. Po prostu delikatny, życzliwy uśmiech.

- Pamiętasz, opowiadałem ci, jak moja matka wykorzystwała ojca, by zrobić karierę?

Skinęła głową. Nie rozumiała, do czego zmierza.

- Moja matka to Adriannę Bourne, ta aktorka. Dzień-

ki temu, że zaszła w ciążę z moim ojcem, zrobiła karierę w Hollywood. Wykorzystała jego wpływy i kontakty.

- Uwolnił jej dłoń i podniósł kartki z kolan. - To są dokumenty w sprawie anulowania małżeństwa. Kiedy je dostałem, wreszcie zdałem sobie sprawę, że jestem w tobie beznadziejnie zakochany - powiedział cicho.

- Niczego ode mnie nie chcesz. Nie jesteś taką kobietą, za jaką cię uważałem. Podarł kartki i rzucił je na podłogę. Pochylił się do Jen i znów ujął jej dłoń. Delikatnie musnął wargami jej palce.

- Pani Barringer, proszę nie odchodzić - poprosił, klękając przed nią. - Gdy braliśmy ślub, byłem już zakochany. Broniłem się przed tym. Nie chciałem traktować uroczystości na serio. Myślę, że zakochałem się w chwili, gdy zobaczyłem cię po raz pierwszy. - Sięgnął do kieszeni i wyjął jej obrączkę. - Proszę, weź ją. Dałem ci ją, bo chciałem, żebyś zatrzymała ją na zawsze.

Nie mogła uwierzyć, że mówił to wszystko na serio.

- Cole, ja...

- Kochanie, wszyscy popełniamy głupstwa, ale nasz ślub na pewno nie był pomyłką. Spójrz, nadal noszę obrączkę. - Uniósł dłoń. - Nie zostawiaj mnie - szepnął.

Uśmiechnęła się i pogłaskała go po policzku.

- Kocham cię i nigdy nie zostawię - zapewniła. Wiedziała, że tę chwilę zapamięta na zawsze. Cole

wsunął jej obrączkę na palec.

Jen pomyślała, że to cud. Cole Barringer naprawdę ją kochał! Rzuciła mu się w ramiona.

- Nie mogę uwierzyć...
- Uwierz, kochanie. I nie rzucaj pracy. Już nie będę kręcił się po firmie. Dasz sobie świetnie radę beze mnie.
- Nie mogę nadal być prezesem. Gdy ogłosimy nasze małżeństwo, nikt nie uwierzy, że zostałam szefem, bo byłam najlepsza.
Pociągnął ją za sobą na dywan i przycisnął do siebie.
- Uwierzą. Kiedy Ruthie wróciła z Houston i dowiedziała się, kim jestem naprawdę, wybuchnęła takim śmiechem, że musieliśmy zdradzić, w czym rzecz. Wszyscy już się dowiedzieli, że nie miałaś pojęcia, kim jestem, gdy braliśmy ślub. Zresztą słyszałem od twoich pracowników, że są zadowoleni ze zmian, które zdążyłaś wprowadzić. Uważają, że słusznie cię wybrano, niezależnie od tego, czyją jesteś żoną.
Wreszcie przerwał, żeby ją pocałować. Odpowiedziała mu długim, delikatnym pocałunkiem. Nagle przyszło jej coś do głowy.
- Słuchaj, Cole, a jak wszyscy wrócą, a my akurat będziemy...
- Kochać się jak szaleni? - dokończył za nią. - Nie, kochanie. Nikogo poza tobą nie zapraszałem. Właśnie zaczynamy miesiąc miodowy i nie potrzebujemy towarzystwa.